

Magdalena Stykała

W SERCU UŁANA



Magdalena Stykała

W SERCU
UŁANA

Copyright © Magdalena Stykała, 2022

Projekt okładki: JENA

Ilustracje na okładce: © Magdalena Stykała, ArthurHidden/Freepik

Redakcja: Magdalena Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-67539-24-1

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.pl/bookedit.pl

*Pamięci żołnierzy 16/2 Pułku Ułanów Wielkopolskich,
walczących w Bukowcu 3 września 1939 roku
i Ich rodzin.
Z dedykacją dla mieszkańców mojej miejscowości,
by pamięć o naszych ułanach
nigdy nie umarła.*

Magdalena Stykała

1 września 1939 roku Niemcy bez wypowiedzenia wojny zaatakowały Polskę na całej długości granicy. Żołnierze polscy mimo ogromnej przewagi agresora od początku stawiali bohaterski opór. 3 września 1939 roku, 16 Pułk Ułanów Wielkopolskich wchodzący w skład Pomorskiej Brygady Kawalerii, będącej częścią Armii Pomorze, toczył walki z niemieckim najeźdźcą w Bukowcu – mojej rodzinnej miejscowości. Ułani pozostawili w Bukowcu zabitych i rannych. Pamięci o tych wydarzeniach pilnują: mogiła ułanów, ulica i szkoła Ich imienia oraz uroczystości rocznicowe.

Niniejsza książka jest opowieścią o tym, jak mogło to wyglądać z perspektywy ludzi, którzy płynęli wówczas z potężnym nurtem historycznych wydarzeń.

Zapraszam do lektury
Magdalena Stykała

Miejmy nadzieję!

*Miejmy nadzieję!... nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w wątły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.*

*Miejmy nadzieję!... nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń
I przechowuje oręż i przyłbicę.*

*Miejmy odwagę!... nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.*

*Miejmy odwagę!... nie tę tchnącą szałem,
Która na oślepi leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwne losy stałością zwycięża.*

*Miejmy pogardę dla wrzekomej sławy
I dla bezprawia potęgi zwodniczej,
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwawy
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.*

*Miejmy pogardę dla pychy zwycięskiej
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy!
Ale nie wielbmy poniesionej klęski
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.*

*Przestańmy własną pięścią się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:*

*Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...*

*Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość;
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.*

*Adam Asnyk
6 maja 1871*

Część pierwsza

Olszynka

Dziewiętnastoletni Janek Wadowski leżał na małej leśnej polanie, ciesząc się miękkością i ciepłem pachnącej trawy. Wpatrywał się w niebo. Odkąd pamiętał, uwielbiał te chwile. Jeśli udało się znaleźć odrobinę czasu między obowiązkami, zerkał w niebo. Układał się na moment na trawie i obserwował przesuwane się po nieboskłonie chmury. Odliczał sekundy między jednym a drugim błyskiem słońca. Niezmiennie podziwiał błękit ponad ziemią, a gdy widok zasnuły obłoki, cieszył się, kiedy pośród nich przebijał się niebieski fragment. Obraz nieba uspokajał go i przenosił do innego świata. Wcześniej nie umiałby wyjaśnić, dlaczego tak bardzo lubi te chwile, jednak od blisko dwóch lat były one nierozwalnie związane z Basią, a radości z jej obecności nie musiał sobie wyjaśniać.

Każdej niedzieli przychodzili na swoją polanę. Janek kładł się na trawie, a Basia opierała głowę na jego brzuchu i układała się tuż obok z książką w dłoniach. Czytała mu kolejne powieści, a on wpatrywał się w niebo i wsłuchiwał w głos dziewczyny.

Znali się od urodzenia. Ich Olszynka była średniej wielkości wsią, jakich wiele na Pomorzu. Umiejscowiona na trasie kolejowej między Tucholą a Bydgoszczą pośród pięknych lasów stanowiła dla mieszkańców bezpieczny świat. Jak w większości ościennych miejscowości, żyli tutaj Polacy oraz Niemcy, którzy zostali w swoich gospodarstwach z czasów, gdy te tereny należały do Prus.

Polska część ludności w większości przybyła tu po zakończeniu wojennej zawieruchy. Wówczas, jak zawsze w takich momentach dziejów, miała miejsce ogromna migracja. Część Niemców wyjechała, nie chcąc mieszkać w polskich granicach. Pojawili się Polacy z różnych rejonów byłych zaborów. Szybko zadomowili się na nowym terenie i teraz po blisko 20 latach od tamtych wydarzeń wszyscy stanowili jedność. Różnice czasem dało się jeszcze zauważyć w tradycjach, jakie pielęgnowano w poszczególnych domach. Niekiedy odmiennością były świąteczne potrawy, elementy ubrań, sposób określania niektórych przedmiotów, jednak z biegiem czasu stawało się to coraz bardziej jednolite.

Polacy rozumieli niemieckich sąsiadów i na odwrót. Dla ogólnej wygody spolszczano niemieckie określenia, tworząc specyficzny dla regionu rodzaj gwary. Niemcy zajmowali w większości domy w centrum, a Polacy przeważali w licznych gospodarstwach wokół. Wszystkie domy zbudowano z czerwonej cegły, a ściany zabudowań gospodarskich stanowiły mur pruski lub szachulec, które na tle zieleni, będącej wszechobecnym tłem tej rzeczywistości, prezentowały się malowniczo.

Kościół w Olszynie był ewangelicki, zatem polska część mieszkańców co niedzielę wybierała się do katolickiej świątyni w sąsiedniej Podkowie. Kilka kilometrów pokonywano piechotą, niekiedy tylko dla wygody lub po to, by umożliwić dotarcie najstarszym mieszkańcom, zaprzęgano konie i wyruszano bryczką. Dzieci uczyły się we wspólnej szkole. Polską i niemiecką część oddzielała sień. Po jednej stronie mieściła się izba przeznaczona dla polskich dzieci, po drugiej dla niemieckich, których było znacznie mniej.

Poza kościołem i szkołą w Olszynie funkcjonowała poczta oraz kilka warsztatów rzemieślniczych, w tym te najbardziej oczywiste i niezbędne, jak szewc i kowal. Był także miejscowy lekarz, który przyjmował pacjentów w swoim domu – Polak, natomiast aptekę prowadzili Niemcy. Istniał sklep kolonialny oraz zarządzana przez Żydów gospoda, gdzie mężczyźni przychodzili w niedzielne popołudnia, by korzystać z niebywałego luksusu, jakim był jedyny w okolicy stół bilardowy. Zimą urządzali sobie rozgrywki.

Rodzina Janka mieszkała w Olszynie od zawsze. Chłopak był najstarszym spośród czwórki rodzeństwa. Miał trzy młodsze siostry, w związku z czym to on był podporą ojca w gospodarstwie.

Ciężko pracował od najmłodszych lat, wiedząc, że do niego należą wszystkie trudne zajęcia przynależne mężczyznom. Dziewczyny, dorastając, dostawały coraz to nowe obowiązki u boku mamy. Siłą rzeczy prace na wsi podzielono na kobiece i męskie, zarówno te w polu, jak i w obejściu. Niepisaną zasadą było to, że tylko mężczyźni zajmują się końmi, a do kobiet należy opieka nad pozostałymi zwierzętami. Młodsza o dwa lata Hanka nieustannie narzekała na tę niesprawiedliwość. Nie miała najmniejszej ochoty zajmować się drobiem czy krowami. Natomiast trudno ją było odgonić od dwóch największych skarbów w domu – Dukata i Talara, zimnokrwistych koni niezastąpionych do pracy w gospodarstwie. Posiadanie dwóch koni było wyjątkowym szczęściem, jednak ich obecność i imiona kojarzone z monetami były w rzeczywistości jedynym bogactwem Wadowskich. Żyli jak inni i nie wyróżniali się w żaden sposób. Każdego dnia pracowali na swój byt, nie szcędząc sił. Nie głodowali, ale do zamożności było im daleko. Jedzenia wystarczało dla każdego, a mama dbała, by ojciec i Janek, którzy pracowali najciężej, jedli więcej. Dla nich też zawsze przeznaczala mięso, jeśli udało się skorzystać z tego luksusu.

Podobnie jak reszta dzieci w Olszynie Janek i dziewczyny posiadali kilka ubrań codziennych i jedno odświętne. Większość mieszkańców wsi dzieliła podobny los, dlatego nikt nie czuł się gorszy.

Janek był drobnym, ciemnowłosym chłopakiem o pełnych radości brązowych oczach. Ciężka praca od najmłodszych lat sprawiła, że był bardzo silny, chociaż wygląd na to nie wskazywał. Miał też mnóstwo sprytu i zwinności. Nikt nie był w stanie go przegonić lub złapać. Poruszał się z ogromną prędkością, a gdy zdarzały się przepychanki czy drobne bójki z chłopakami, nigdy nie oberwał, radząc sobie błyskawicznym unikaniem ciosów i oddawaniem z zawrotną szybkością.

Niezwykłe pogodny charakter sprawiał, że był bardzo lubiany przez rówieśników. Żartował często i uśmiechał się w charakterystyczny sposób, mrużąc oczy, co

powodowało, że patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, iż rozjaśnia się cała jego twarz. Ten uśmiech był niezwykle zaraźliwy, jego urokowi nie potrafili się oprzeć rodzice, koledzy oraz nauczyciele, którzy, besztając Janka za jakies przewinienie lub nieprzygotowanie do lekcji, na ten uśmiech odwracali głowę, by nie pokazać, że im też udziela się jego wesołość.

Wydawało się, że chłopak ma odpowiedź na każde pytanie i z każdego wybrnie, rozbawiając innych. Niejednokrotnie słyszał słowa: „błazen”, „komediant”, które traktował jak komplementy, a nie przytyki. Nie umiał zliczyć swoich szkolnych wpadek, nie potrafił też ich unikać. Nauczyciel Janka nie miał wątpliwości, że zapamięta tego chłopca do końca życia. Na poczekaniu mógłby opowiedzieć kilka anegdot dotyczących ucznia Wadowskiego. Jedną sytuację zapamiętał szczególnie. Pewnego dnia zadał dzieciom w ramach pracy domowej napisanie według własnego pomysłu zakończenia nowelki Prusa „Antek”. Wcześniej starannie przerobił z nimi tę lekturę, uczulając uczniów na los książkowego Antka. Wszyscy szczerze współczuli bohaterowi, a poruszeni jego niedolą, pisząc zadanie domowe, tworzyli piękne zakończenia, w których poturbowany przez życie Antek stawał się sławnym i bogatym rzeźbiarzem, a potem wracał do domu, przynosząc szczęście i dumę rodzinie. Uczniowie czytali po kolei swoje opowieści, a kiedy nadeszła kolej Janka, wziął zeszyt i przeczytał kilka zdań, w których napisał, jak to Antek, dostawszy od matki na drogę miedzianego rubla, wędrował przez świat, gdy nagle rozpętała się ogromna burza. Chłopak zgubił pieniądze, a gdy schylił się, aby go podnieść, w monetę uderzył piorun i Antek zginął na miejscu. Janek zamknął zeszyt i zrobił zadowoloną minę, ciesząc się, że ma zadanie z głowy. Nauczyciel patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Na chwilę zabrakło mu słów. Widząc, że dzieci zaczynają chichotać, a potem śmiać się coraz głośniejsze, zbeształ Janka za gruboskórne i okrutne podejście do tematu. Chłopiec starał się zrobić skruszoną minę, jednak widząc, że rozbawił całą klasę, nie umiał opanować śmiechu. Ponownie dostał burę od nauczyciela, który w celu utrzymania posłuszeństwa, kazał wszystkim napisać dziesięć razy w zeszytach: „Nie będę śmiać się na lekcjach”. Dzieci przystąpiły do zadania, a nauczyciel usiadł za katedrą, zasłonił się dużą gazetą i najciszej, jak potrafił, śmiał się do łez z inwencji twórczej Janka.

Po skończeniu szkoły Janek pracował w gospodarstwie, większość czasu spędzając z ojcem. Nikt nie myślał o tym, by posłać go do gimnazjum. To wiązało się z kosztami i nie było mu do niczego potrzebne. Nieliczni wybierali się do szkół w Bydgoszczy, większość młodzieży pracowała jednak u siebie i z własnym domem wiązała przyszłość.

Czas odmierzano porami roku, które wyznaczyły kolejne prace na roli, a każdy dzień od wczesnego ranka do ciemnej nocy miał swój niezmienny rytm, w który wpisane były opieka nad zwierzętami oraz zależne od momentu kalendarza prace w polu, warzywniku, sadzie oraz domu. Główną troską lub radością oraz codziennym tematem rozmowy w każdym domu i między sąsiadami była pogoda, od której zależało bardzo wiele. Ludzie na wsi od rana spoglądali w niebo, wypatrując upragnionego deszczu lub dla odmiany prosząc los, by zakończyły się ulewy. Od kaprysu aury uzależnione były wszystkie prace, zaczynając od pierwszej orki, poprzez sianokosy, żniwa i jesienne wykopki. Wielokrotnie

ludzie spieszyli na pole całą rodziną, by uwijać się jak w ukropie pod dachem ciężkich burzowych chmur, zwożąc siano czy ustawione w sztygi snopy zboża.

Janek pamiętał momenty, gdy udało się wjechać wypełnionym wozem do stodoły pośród pierwszych kropli i w tym momencie pojawiała się za nimi ściana deszczu. Stali wówczas zmęczeni i brudni całą rodziną w drzwiach stodoły i uśmiechali się do siebie, ciesząc się, że uratowali plony.

Z pracą wiązały się pewne rytuały. Każdego dnia o siódmej rano i dwunastej w południe odzywały się dzwony kościoła w sąsiedniej miejscowości, ogłaszając „Anioł Pański”. Za każdym razem, niezależnie od czynności, jaką akurat wykonywali, ojciec i Janek zdejmowali czapki i kilka sekund poświęcali na odmówienie modlitwy. Gdy chłopak to przegapił lub zapomniał, słyszał przywołujący go do rzeczywistości głos taty: „Janek!”. Spoglądał w jego stronę i widział, jak zdejmuje czapkę. Nie potrzebował więcej wskazówek. Dołączał i szybko mówił trzy wersy modlitwy, a potem wracali do pracy.

Janek nie zastanawiał się specjalnie nad swoją przyszłością. Wiedział, że przejmie gospodarstwo i będzie musiał dać siostronom posag. Wcześniej jednak miał odsłużyć w wojsku. Domyślał się, że służba czeka go od tej jesieni. Z jednej strony cieszył się, że przeżyje coś nowego, wyjedzie na jakiś czas z Olszynki. Z drugiej miał wyrzuty sumienia względem taty, który straci pomoc w pracy. Wiedział, że będzie mu dużo ciężiej. Ojciec zapewniał Janka, że poradzą sobie doskonale, Hanka z radością zajmie się końmi, a obowiązek wobec Ojczyzny jest ważniejszy.

– Bóg, Ojczyzna, Rodzina – mawiał tata, a Janek był pewien, że każdy z tych wyrazów ojciec mówi wielką literą. – Tak masz mieć poukładane w duszy i w sercu, w takiej kolejności.

Janek uśmiechał się i kiwał głową.

„W sercu jeszcze Baśka” – myślał. Było dla niego oczywiste, że zostanie jego żoną. Nie chciał innej, nie podobały mu się inne dziewczyny. Baśka była według niego idealna, nie mógł się doczekać, by należała do niego w każdym możliwym wymiarze. Wiedział, że wszystkie ich marzenia się spełnią. Nie pamiętał życia bez Basi, była częścią jego świata od zawsze. Ich gospodarstwa były oddalone od siebie około kilometra, spotykały się codziennie.

Rodzice Basi przyjechali do Olszynki z małą Martą tuż po zakończeniu Wielkiej Wojny. Opuścili swoją rodzinną wieś w okolicach Kielc i ruszyli na poszukiwanie lepszego życia. Na ich terenie ziemie były słabe i nieurodzajne, żyli w biedzie, jednak z początku nie myśleli o tym, by szukać innego miejsca na świecie. Decyzję o opuszczeniu rodzinnej miejscowości podjęli, gdy na szalejącą wówczas hiszpankę zmarł ich pięcioletni synek. Choroba zwana również ukraińką lub wołynką, a nawet chorobą bolszewicką zabrała życie ćwierć miliona Polaków, zbierając żniwo głównie pośród mieszkańców galicyjskich wsi. Mimo że epidemie szerzyły się wcześniej i posłały do grobu w XIX wieku pół miliona Polaków, to jednak statystyka nie pomagała się pogodzić ze śmiercią ukochanych osób. Rodzice Basi rozważali kupno ziemi na ukraińskich czarnoziemach. Parcelowano działki i można było skorzystać z tej możliwości, jednak uznali, że chcą

wyjechać na północ, opuścić byłą Galicję i zacząć nowe życie w zupełnie innej rzeczywistości.

Olszynka okazała się idealnym miejscem. Kupili niewielkie gospodarstwo zostawione przez niemieckich właścicieli, w którym nic nie przypominało ich dawnej wsi. Tam wszystkie zabudowania były drewniane, tutaj dominowała czerwona cegła. W domu znaleźli pompę, co było ogromnym luksusem. Do tej pory mama Basi korzystała u siebie tylko ze studni, a pranie płukała w lodowatej rzece. Cały świat byłego zaboru pruskiego przeganiał biedną Galicję w każdej dziedzinie. Choć ludzie tutaj nie należeli do bogatych, z pewnością żyło się im o wiele lepiej i wygodniej niż na południu. Basia urodziła się w Olszynie w 1920 roku. Po jej narodzinach mama bardzo chorowała, a potem nie udało się jej ponownie zająć w ciąży. Marta i Basia pozostały jej jedynymi dziećmi. Wychowane były twardą ręką matki, która była bardzo surowa i bezustannie drżała o bezpieczeństwo córek, bojąc się, że może je stracić równie szybko, jak syna. Pełen spokoju i łagodności ojciec stanowił przeciwieństwo niepokojącej mamy. W Olszynie odnaleźli spokój, a inne otoczenie i czas pozwoliły uporać się ze złymi wspomnieniami.

Janek, zmierzając do szkoły jako mały chłopiec, często spotykał na swojej drodze młodszą o dwa lata Basię oraz jej siostrę Martę, która była w jego wieku, i razem zmierzali do centrum. Gdy dorastali, do ich trójki dołączały po kolei młodsze siostry Janka. Przechodzili przez niewielki zagajnik, za którym mieściło się największe i najbogatsze gospodarstwo we wsi. Zamieszkiwała je Niemka Elza z jedynym synem. Eryk często czekał na całą gromadkę i razem wędrowali w kierunku szkoły.

Wszyscy znali historię Elzy. Była córką aptekarza, najmłodszą spośród trojga rodzeństwa. Siostra Elzy wyszła za mąż i wyjechała do Drezna, brat miał przejąć aptekę po ojcu, a Elzie rodzice postanowili poszukać majątnego kandydata na męża. Była niezwykle mądrą dziewczyną, cechowała ją pewnego rodzaju charyzma i upór. Nikt nie miał wątpliwości, że osiągnie każdy cel i niewielu będzie chciało stawać jej na przeszkodzie, gdy zechce czegoś dopiąć. Choć wydawała się twardą i nieustępliwą, jednocześnie nosiła w sobie niezmiernie pokłady altruizmu i wrażliwości na los innych. Ojciec mawiał, że gdyby przejęła rodzinną aptekę, w krótkim czasie doprowadziłaby interes do ruiny, rozdając medykamenty potrzebującym. Umiała przygotowywać proste mikstury, знаła wiele sprawdzonych sposobów leczenia, jednak nigdy nie chciała zajmować się tym zawodowo, zdając sobie sprawę, że kobieta w roli farmaceutki nie budziła zaufania. Rodzice mieli nadzieję, że pojawi się bogaty zięć, który zapewni córce wspaniałą przyszłość.

Elza zaskoczyła wszystkich, gdy związała się z Martinem, prostym chłopakiem, którego gospodarstwo leżało w pewnej odległości od centrum miejscowości. Martin pochował rodziców, a jego rodzeństwo rozpierzchło się w poszukiwaniu lepszego życia. Ciężko pracował, by przetrwać, lecz żył w biedzie.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób zdobył serce Elzy, lecz w pewnym momencie o ich uczuciu mówiła cała Olszynka. Rodzice dziewczyny protestowali, uważając, że córka niszczy sobie życie u boku biedaka, lecz ona była nieugięta. Wyszła za Martina za mąż,

twierdząc, że to miłość jej życia. Zamieszkali razem i budowali swoją przyszłość, nie oszczędzając sił. Elza nigdy nie narzekała, była szczęśliwa u boku ukochanego człowieka. Rodzice zachowywali dystans, żeby dać jej nauczkę, jednak wybuch Wielkiej Wojny wszystko zmienił. Brat Elzy zginął pod Verdun pod koniec 1916 roku, w czasie gdy Martin również walczył na froncie. Elza stała się podporą rodziców, nie mieli wątpliwości, że wbrew wcześniejszym planom, to ona przejmie aptekę. Rozpacz po śmierci syna i brata oraz strach o bezpieczeństwo Martina bardzo zjednoczyły rodzinę.

Martin dostał przepustkę na Boże Narodzenie 1917 roku. Przywiózł Elzie swoje zdjęcie w pruskim mundurze, które natychmiast umieściła w dużej ramce i ustawiła w pokoju. Był to ostatni raz, gdy mężczyzna widział żonę i Olszynkę. Zginął trzy miesiące później, nie wiedząc o tym, że Elza nosi pod sercem jego syna. Eryk urodził się jesienią 1918 roku, podobnie jak Janek. Elza całą miłość do męża przelała na syna. Kochała go bezgranicznie i w jego przypadku nie potrafiła myśleć racjonalnie, kierując się wyłącznie uczuciem. Rozpieszczała jedynka, w czym wtórowali jej dziadkowie. Eryk stał się ich radością i nadzieją po śmierci syna. Wojna się skończyła, a sytuacja rodzinna uległa zmianie. Rodzice Elzy nie oszczędzili środków, by wnuk dorastał w jak najlepszych warunkach. Dzięki ich pomocy gospodarstwo Elzy wkrótce stało się jednym z najbardziej majątnych w Olszynie. Eryk i praca stały się sensem jej życia. Kiedy zmarł ojciec, Elza zabrała mamę do siebie, a aptekę wydzierżawiła niemieckiemu farmaceucie, który przyjechał tutaj z Chojnic. Przez wiele lat rozwijała swoje gospodarstwo dzięki własnym wysiłkom oraz stałym wpływom z wynajmu domu i apteki. Kiedy w 1935 roku zmarła jej matka, Elza była już najbogatszą gospodynią we wsi. Najmowała parobków do pracy w polu, a w domu korzystała czasem z pomocy dziewczyn z najuboższych rodzin, które zajmowały się zwierzętami, a w najbardziej pracowitych okresach pomagały w warzywniku i sadzie, gromadząc i przerabiając owoce i warzywa. Elza zawsze pracowała razem z nimi, nie oszczędzając sił. Płaciła bardzo dobrze i była niezwykle troskliwa, dlatego służba u niej była wymarzoną zajęciem dla wielu dziewcząt. Elza rozpytywała każdego ze swoich pracowników o sytuację w domu i gdy słyszała o jakichkolwiek kłopotach, starała się pomóc. Czula się Niemką, jednak nie dzieliła ludzi według narodowości. Uważała, że dla każdego wystarczy miejsca we wsi i niezależnie od poczucia przynależności do kraju, można żyć w zgodzie.

– Słońce nad nami wschodzi tak samo dla każdego – mawiała. – Czy budzimy się w Olszynie, czy po dawnemu w Erlenbaum, to tak samo musimy przepracować dobrze swój dzień i przeżyć godnie nasz czas. To nasze wspólne miejsce, wystarczy go dla każdego teraz i po śmierci, na naszych cmentarzach. Wszyscy przychodzimy na świat równi i tak samo z niego odejdziemy. Teraz musimy żyć najlepiej, jak umiemy.

Życie płynęło spokojnie, czas odliczano porami roku. Niepokoje świata nie miały zbyt wielkiego wpływu na codzienność. O sprawach politycznych, gospodarczych i społecznych dyskutowali najczęściej mężczyźni, którzy po przeczytaniu artykułu w gazecie lub wysłuchaniu audycji radiowej długo deliberowali, roztrząsając każdą nowinkę, snując

przypuszczenia i przewidywania co do przyszłości. Wszyscy już wiedzieli o rozrastającej się niemieckiej potęgze, jednak nikt nie myślał o tym, by mogła w jakikolwiek sposób zagrozić codziennej stabilizacji. Wydawało się, że wspomnienia Wielkiej Wojny są nadal silne. Ludzie wciąż pamiętali najbliższych, którzy polegli w tym strasznym czasie i tęsknili za nimi. Każdy, kto to przeżył i pamiętał, nie wyobrażał sobie, by to doświadczenie pozwoliło rozpętać kolejny konflikt. Wszyscy pragnęli żyć w spokoju i pokoju.

Basia nie umiała powiedzieć, kiedy zakochała się w Janku. Był przy niej od zawsze. Razem dorastali, z maluchów stali się dziećmi, a potem nastolatkami. Janek miał w sobie dużo opiekuńczości, być może spowodowane to było obecnością młodszych siostr, o które uczono go dbać i nieustannie się troszczyć. Basia pamiętała, że nawet gdy obrzucał ją zimą śnieżkami i śmiał się, mrużąc oczy, podchodził potem i pomagał jej zrzucić resztki śniegu z włosów i zza kołnierza. Ich niedzielny rytuał przesiadywania na leśnej polance przy stawie zaczął się, gdy polecono w szkole przeczytać „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza. Janek twierdził, że nie ma czasu ani ochoty i na pewno zaśnie nad tekstem. Basia, która uwielbiała książki i znała każdą w szkolnej bibliotece, zapewniała, że są wspaniałe, a ta opowieść na pewno mu się spodoba. Pewnej niedzieli umówili się na wspólne popołudnie. Baśka zabrała lekturę i w poszukiwaniu spokoju zawędrowali na polanę. Janek ułożył się w pachnącej trawie i zapatrzył w niebo swoim zwyczajem. Baśka usiadła obok i zaczęła czytać. Od pierwszych chwil Janek słuchał oczarowany. Wpatrywał się w niebo i wyobrażał sobie to, co czytała dziewczyna. Wsłuchiwał się w jej głos i przenosił do innego, wspaniałego świata. Został ich późny wieczór i nie można już było odgadnąć liter na kartach powieści.

Janek nie mógł doczekać się kolejnej niedzieli. Cały tydzień w szkole i podczas pracy w domu rozmyślał o losach Stasia Tarkowskiego. Był wówczas jego rówieśnikiem i Sienkiewiczowski bohater wywarł na nim ogromne wrażenie.

Dopóki pozwalała pogoda, każde niedzielne popołudnie spędzali w ten sposób. W ciągu kilku lat Baśka przeczytała wiele powieści, a do trylogii Sienkiewicza na prośbę Janka wracali kilkakrotnie. Z biegiem czasu, gdy stali się sobie bliżsi, Basia opierała głowę na brzuchu chłopaka i korzystając z tego podparcia, czytała kolejne opowieści. Zawsze czuła się przy nim swobodnie, zupełnie jakby byli rodzeństwem. Janek czasem brał w dłonie niezaplecioną końcówkę warkocza dziewczyny i bawił się, przesypując przez palce kasztanowe włosy i ciesząc się miękkością tego dotyku. Gdy wracali do domu, czasami wskakiwała mu na plecy, a Janek biegł ślalomem leśną drogą, udając stukot kopyt i parskanie. Basia śmiała się w głos.

Uczucie pojawiło się zupełnie niespodziewanie i zaskoczyło oboje. Pewnej niedzieli, leżąc w trawie, Basia jak zwykle czytała głośno. Trzymała książkę nad sobą, osłaniając się przed słońcem. Janek leżał obok na brzuchu, chowając głowę w załamaniu ramienia. Obserwował dziewczynę spod przymkniętych powiek. Promienie słońca nadawały jej włosom piękny miedziany blask. Gdy przekładała kartki, mrugała szybko, chroniąc zielone oczy przed oślepiającym światłem. Janek widział zasłonę długich rzęs i delikatne

piegi na nosie. Wpatrywał się w usta, z których wypływały kolejne słowa. Nie mógł odebrać od nich wzroku. Zastanawiał się, jak smakują.

Wyjął książkę z rąk Basi i położył obok. Przez chwilę patrzył w jej zielone oczy. Pochylił się i czekał na reakcję. Zobaczył, jak w zagłębieniu szyi dziewczyny puls uderza z większą szybkością. To miejsce przykuło jego uwagę bardziej niż usta. Delikatnie dotknął dłonią i poczuł pod opuszkami palców łomot serca Basi. Przysunął się i lekko odchylił dekolt bluzki. Dotknął ustami załamania obojczyka i przesunął się powoli w kierunku linii żuchwy, podbródka, docierając do celu. Całował delikatnie, ciesząc się nieznanym doznaniem. Basia objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Czuł jej wspaniałe zapach i sycił się smakiem pocałunków. W tym momencie myślał o tym, że mogłyby nie przestawać do końca życia. Wracali do domu radośni i podekscytowani, Janek obejmował ją ramieniem, a ona wtulała się w jego szczupłe ciało.

Od tamtej niedzieli minęło dwa lata. Mimo że bardzo starali się ukrywać przed innymi swoją zażyłość, po kilku miesiącach wszyscy wiedzieli, że tę parę łączy coś więcej. Wbrew ich obawom nikt nie był specjalnie zainteresowany tym faktem poza dwoma osobami, którym bardzo nie podobała się ta relacja. Pierwszą z nich była mama Basi, która za każdym razem spoglądała z dezaprobatą, gdy córka wracała ze spotkań z chłopakiem. Upominała ją i mimo iż nie zakazała kontaktu, wydawała się bardzo niezadowolona z wyboru Baśki. Drugą osobą, która nie umiała powstrzymać się przed kąśliwymi uwagami na ich temat, był Eryk. Od najmłodszych lat w pewien sposób rywalizował z Jankiem o względy Baśki, ale sposób, w jaki próbował na siebie zwrócić uwagę dziewczyny, zupełnie jej nie odpowiadał i sprawiał, że wraz z upływem czasu Eryk wydawał się jej coraz mniej sympatyczny, za to coraz bardziej złośliwy i denerwujący. Był wyraźnie zazdrosny i nie umiał tego ukryć. Odkąd pamiętał, zawsze dostawał wszystko, czego zapragnął. Był fizycznym przeciwieństwem Janka. Dobrze zbudowany, wysoki, o włosach w kolorze lnu i zimnych niebieskich oczach, przewyższał Janka wzrostem o głowę. W towarzystwie chłopaków ze wsi wydawał się prawdziwym gigantem. Elza dbała o to, by niczego mu nie brakowało, podsuwała smakołyki, jednocześnie nie oszczędzając syna w pracy. Eryk bardzo kochał matkę i był posłusznym synem, a ona nie widziała świata poza nim. Często słyszała, że jest bardzo podobny do ojca, tak samo przystojny i wspaniały. W przypadku Eryka mądra i dobra Elza zupełnie traciła głowę. Kierowała się wyłącznie ogromną miłością, nie zauważając żadnych wad, a on wyrósł na aroganckiego i zarozumiałego chłopaka. Jednocześnie potrafił być bardzo miły i czarujący, gdy mu na czymś zależało. Jeśli nie otrzymywał swojej zachcianki, reagował złośliwością lub kpinią. Nikt nie chciał wdawać się z nim w bójki ze względu na jego przewagę. Jedynym rywalem, który nie bał się stanąć z nim do walki, był Janek. Ich przepychanki trudno było nazwać bójkami. Janek jeszcze w dzieciństwie odkrył słaby punkt Eryka i wykorzystywał go za każdym razem, gdy próbowali się mierzyć. Sprytny Janek nie dał się uderzyć, zawsze zdążył się uchylić, zanim rosły Eryk wyprowadził cios. Pewnego razu oddał rywalowi z zawrotną szybkością, zanim tamten zdołał się zorientować i z nosa Eryka natychmiast popłynęła krew. Janek to zapamiętał i od tego momentu z łatwością radził sobie z niemieckim

chłopakiem. Eryk czasem zapominał o swojej słabości i prowokował bójkę, jednak jeden cios w nos ze strony Janka sprawiał, że tamten musiał zająć się tamowaniem krwotoku. Zanim opanował sytuację, przeciwnik był już daleko.

Eryk rozumiał, że nie ma szans u Basi. Nie potrafił powiedzieć, co tak naprawdę się mu w niej podoba, czy zieleń oczu, kolor włosów, czy drobne ciało. W Olszynie było wiele ładnych dziewcząt, ale Baśka działała na niego szczególnie. Denerwował się, gdy jeszcze jako dzieci wędrowali razem do szkoły, a ona wolała iść bliżej Janka niż niego. Za każdym razem próbował zwrócić na siebie jej uwagę. Czasem zabrał jej książki, innym razem pociągnął za warkocz lub dla odmiany był bardzo miły i przynosił w prezencie piękne jabłko lub garść malin. Mimo wszelkich starań była odległa, aż w końcu wybrała Janka, co Erykowi było trudno znieść. Nie cierpiał tego Polaka, jego uśmiechu i tego, że nie potrafił sobie z nim radzić fizycznie. Gdy dostrzegł, w jaki sposób Baśka patrzy na Janka, wiedział, że nienawiść do niego szybko przerośnie uczucie do niej. Był zazdrosny nie tyle o dziewczynę, co o to, że wybrała jego wroga. Tego nie mógł przeboleć, choć wiedział, że nie związałby się na stałe z Polką. W tym momencie jednak po prostu wypełniała go zawiść. Pomyślał, że jego czas jeszcze nadejdzie. Wiedział, że Janek będzie musiał iść do wojska, a wtedy zniknie z Olszyny. Eryk czekał na ten dzień z niecierpliwością.

Przez dwa lata coraz bliższej zażyłości Janek starał się za każdym razem przesunąć granice bliskości. Ostatniego lata w czasie wspólnych niedziel Basia czytała zaledwie kilka stron, kiedy wyjmował z jej rąk książkę i przewracał dziewczynę na plecy. Pochylał się i rozchyłał delikatnie dekolt sukienki, dotykając ustami załamania obojczyka i wędrując w kierunku ust dziewczyny. Znał ich smak doskonale i bardzo chciał poznać więcej. Baśka przymykała oczy i oddawała pocałunki, odpływała na moment, a Janek czekał, aż rozpali ją jego ciepło. Za każdym razem miał nadzieję, że uda się zrobić kolejny krok, lecz gdy tylko wsuwał dłoń pod sukienkę i próbował przesunąć odrobinę ku górze, Baśka przytomniała i natychmiast wyswobadzała się z objęć, zakrywała kolana sukienką i kręciła głową z dezaprobatą.

– Janek... Nie wolno. Nie można.

Uśmiechał się i godził z sytuacją, będąc pewnym, że następnym razem spróbuje ponownie i będzie to robił aż do skutku. Nie wyobrażał sobie wcześniej, że można kogoś tak ogromnie pragnąć. Podczas gdy on koncentrował się na ciele, ona bezustannie rozprawiała o uczuciach. Uważał, że to wynik romansów, jakie czytała, a które na niego nie działały w żaden sposób. Gdy przynosiła taką powieść, Janek nudził się śmiertelnie, a moment, kiedy czytała, wykorzystywał na drzemkę i ciesząc się wyłącznie bliskością Baśki, nie wnikał ani na chwilę w losy bohaterów.

Rok wcześniej Basia czytała „Trędowatą” Heleny Mniszkówny, którą uważała za mistrzynię gatunku. Uwielbiała powieści tej autorki, a Janek szczerze ich nie znosił. Pewnej niedzieli, opierając głowę na brzuchu Janka, ze wzruszeniem czytała dialog między Stefanią Rudecką a ordynatem Michorowskim. Ogromnie przeżywała uczucie tej pary, a emocje sprawiały, że jej głos był cichy i drżący. Brnęła przez kolejne książkowe wyznania z bijącym sercem, gdy usłyszała chrapanie.

– Janek! – zawołała i usiadła.

Chłopak zamrugał oczami wyrwany z drzemki.

– Co jest? – zapytał, podniósł się i podparł na łokciu.

– Śpisz – powiedziała z wyrzutem.

– Wcale nie – zaprzeczył.

– Właśnie, że tak – rzekła. – Chrapałeś – dodała z obrażoną miną.

– Nieprawda – zaprzeczył. – Wszystko słyszałem.

– Tak? – Basia przechyliła głowę. – A to ciekawe. Skoro wszystko słyszałeś, to powtórz ostatnie zdanie.

Janek uśmiechnął się, mrużąc oczy, a potem odezwał się pewien swego.

– Ostatnie zdanie. – Patrzył rozbawiony, jak Basia walczy z uśmiechem.

– Wcale nie o to chodziło – podsumowała.

– Przecież chciałaś, żebym powtórzył „ostatnie zdanie”. – Janek nie przestawał się uśmiechać.

Baśka zrobiła groźną minę, zamierzała go obsztorcować, ale po chwili nie wytrzymała i się roześmiała.

– To taka piękna książka – westchnęła. – O uczuciach... A ty chrapiesz...

– O uczuciach to ja wolę inaczej – stwierdził chłopak i przysunął się bliżej. Przewrócił Basię na plecy i pochylił się nad nią. Przez chwilę spoglądał w zielone oczy, a potem dotknął ustami szyi i linii zuchwy. Objęła go i przyciągnęła do siebie, a następnie zgubili się w pocałunkach.

Za każdym razem, gdy próbowała wydobyć z niego wyznania, działał w ten sam sposób, żartował, a potem zamykał jej usta pocałunkiem i po chwili była już w innym świecie. Wiedziała, że nie zmusi go do deklaracji, chociaż była pewna jego uczucia. Co pewien czas sprawdzała, czy uda się go zmobilizować i może Janek powie coś więcej.

– Kocham cię – mówiła, a on uśmiechał się i obejmował ją.

– Ja ciebie mocniej – dodawał tylko krótko.

Nie był w stanie zdobyć się na nic więcej. Sam do końca nie rozumiał dlaczego. Wyznania i deklaracje miłości były dla niego jakimiś książkowo-baśniowymi sloganami. Nie potrzebował tego, by czuć. W domu nigdy nie usłyszał, że jest kochany, a mimo to wiedział doskonale, że rodzice kochają ich nad życie, że on i siostry są całym światem dla mamy i taty. Nie umiał mówić o uczuciach i nie chciał. Wiedział, że Basia go kocha, słyszał to od niej wielokrotnie, ale bardziej cieszył się tym, że czuł to w sercu, widział w jej spojrzeniu, w sposobie, w jaki go dotykała. To było dużo ważniejsze niż słowa, na których jej tak bardzo zależało.

Janek wpatrywał się w niebo, a Basia leżała z głową na jego brzuchu. On przesypywał w dłoni kasztanowe pasma z niezaplecionej części warkocza.

– Musimy wracać – powiedziała.

– Jeszcze chwilę – odparł leniwie.

– Zauważą, że nas długo nie ma – stwierdziła.

– To tylko dwie godziny. Nikt nie zauważy – zapewnił.

– Właśnie, że tak – odparła. – Moja mama już na pewno jest zła. Będę musiała wysłuchać jej utyskiwań.

– Dzisiaj? – zdziwił się Janek. – W takim dniu nic ci nie grozi. – Uśmiechnął się.

– Nie wiem... – powątpiewała. – Chodź, bo będą nas szukać.

Dwie godziny wcześniej wymknęli się z podwórka, mając nadzieję, że nikt nie zauważy ich chwilowej nieobecności. Tego dnia w domu Basi odbywało się wesele jej siostry. Marta wychodziła za mąż za Wojtkę, chłopaka z Podkowy, sąsiedniej wsi. Ślub wzięli w jego kościele, bo świątynia w Olszynie była ewangelicka, ale przyjęcie zgodnie z tradycją odbywało się u panny młodej. Ostatnie miesiące były czasem wielkiej pracy i organizacji. Wszystko zaplanowano po żniwach, zatem wcześniej uwijali się w polu, a następnie wszelkie myśli i działania pochłonęły przygotowania do uroczystości Marty. Na podwórzu ustawiono stoły i drewnianą podłogę do tańca. Pojawiło się wielu gości, większość mieszkańców Olszynki, w tym Elza z Erykiem. Z dalekiej Kielecczyny przyjechała siostra taty, chrzestna matka Marty, ciocia Zosia. Towarzyszył jej mąż Mateusz oraz dzieci – ponad dwudziestoletni Andrzej, siedemnastoletnia Helena i dziewięcioletni Staś. Pierwszy raz wybrali się w tak daleką podróż. Marta była chrzczona jeszcze w Górach Świętokrzyskich, swoją chrzestną matkę znała tylko z opowieści i listów. Przez blisko siedemnaście lat nie było okazji, by wybrać się w odwiedzin. Zawsze najważniejsza była praca, tego nie mogli zostawić, rodziły się kolejne dzieci, obowiązków przybywało i nie pojechali tam nigdy. Teraz rodzina ogromnie cieszyła się ze spotkania. Żartowali, że tylko ślub lub pogrzeb daje takie możliwości i doceniali to, że w ich przypadku sprawiła to piękniejsza uroczystość.

Basia pociągnęła Janka za rękę.

– Chodź – powiedziała i próbowała się podnieść.

– Poczekaj – poprosił. – Jeszcze chwilę.

Przyciągnął ją do siebie i przewrócił na plecy, przyłożył usta do szyi, a po chwili kolejny raz tego popołudnia zagubili się w pocałunkach. Na chwilę zapomnieli o weselu, powrocie do reszty gości, o obowiązkach i całym świecie. Przemykała oczy i obejmowała Janka, a on bez chwili zastanowienia odnalazł pierwszy z perełkowych guziczków przy dekolcie sukienki i próbował poradzić sobie z pętelką. Uporał się i delikatnie odchylił materiał. Znał na pamięć kształt trzech guzików zamykających górną część zielonej sukienki w małe różyczki. Uwielbiał, kiedy Basia ją wkładała. Była to najbardziej odświętna część jej garderoby, według Janka dziewczyna prezentowała się w niej zjawiskowo. Basia uszyła ją sama, korzystając z kanonów współczesnej mody, jakie wypatrzyła w czasopiśmie w miejscowej bibliotece. Oprócz dzienników, w których głównym tematem była polityka, pojawiały się tam też czasem pisma, gdzie można było znaleźć ciekawostki z życia kulturalnego, zdjęcia gwiazd filmowych i sportowców. Raz w miesiącu do wsi przyjeżdżało objazdowe kino, a sala szkolna wypełniała się widzami chcącymi zobaczyć najnowszą produkcję z udziałem Dymy, Bodo czy Smosarskiej. Dla Basi była to również okazja, by podejrzeć najnowsze trendy.

Kiedy Marta pojechała z ojcem do Bydgoszczy po materiał na suknię ślubną, Basia dostała od taty zawiniętą w szary papier sporą paczkę. W środku znalazła zieloną tkaninę w małe różyczki.

– Zielony jak twoje oczy, Basiu – powiedział tata. – Pomyślałem, że ci się spodoba.

Baśka ucałowała go w policzki i wyściskała ze szczęścia. Z uszyciem sukienki poradziła sobie bez niczyjej pomocy. Zrobiła wszystko według własnego planu, dopracowując każdy szczegół, a potem stała się dumną posiadaczką pięknej kreacji. Sukienka w pewien sposób zmieniła jej życie. Najpierw przyszła jedna koleżanka, a potem następna, z prośbą, żeby uszyła coś dla nich. Baśka nie powtórzyła ani razu fasonu ze swojej sukienki, bo chciała, by był jedyny w Olszynie, ale jej kroje szybko zyskały uznanie i wkrótce zjawiały się kolejne panie w tym samym celu. Baśce to zajęcie sprawiało ogromną radość i satysfakcję. Od najmłodszych lat zajmowała się łataniem i reperowaniem ubrań, a gdy dorastała, przesywaniem. Jednak praca z kilkoma metrami nowego materiału była dla niej wyzwaniem i przygodą. Gdyby mogła, zajmowałaby się tylko tym, zamiast pracować w gospodarstwie i chodzić w pole. Marzyła, że kiedyś kupi upragnioną maszynę do szycia i będzie miała własną pracownię krawiecką, która pozwoli jej utrzymać się bez konieczności pracy na roli. Wieczorami będzie czytać książki, a noce jako żona Janka spędzać w jego ramionach.

Basia delektowała się pocałunkami i uśmiechała do swoich planów. Poczula, że Janek walczy z pętelką drugiego perelkowego guziczka, a to był sygnał, by wrócić do rzeczywistości. Odepchnęła go delikatnie i się podniosła.

– Nie – powiedziała. – Dalej nie możemy.

– Przecież chcesz – odparł.

– Wcale nie – skłamała.

Coraz trudniej było jej bronić się przed jego pieszczotami. Wiedziała jednak, że nie może przekraczać pewnych granic, że na wszystko przyjdzie czas, choć odmowa była dla niej sporym wyzwaniem. Uwielbiała pocałunki Janka, jego dotyk, chwile, gdy przyciągała go do siebie i czuła ciepło jego ciała. Czekwała na jego oddech na swojej szyi, gdy zmierzał w kierunku ust, a potem całował. Bała się, że pewnego dnia zatraci się i pozwoli mu na wszystko, zanim powinno to się stać.

Spoglądał w jej oczy, oczekując prawdy.

– No dobrze. Chcę – poprawiła. – Ale jeszcze nie teraz.

– Ale chcesz? – Janek upewniał się, jakby usłyszał tylko jedno słowo.

Basia się uśmiechnęła.

– Kocham cię – powiedziała.

Zareagował jak zawsze, szukając czegoś, co pozwoli wybrnąć z sytuacji i nie drażnić tematu. Chwył niezaplecioną końcówkę warkocza dziewczyny i przyłożył sobie pod nos, przytrzymując palcem wskazującym.

– Będę miał takie wąsy – powiedział z uśmiechem i uniósł wysoko brodę, by włosy utrzymały się na miejscu. Zrobił poważną minę i patrzył na Basię, licząc, że odwróci jej uwagę od wyznań.

Roześmiała się, wyobrażając sobie Janka z sumiastymi wąsami i pokręciła głową.

– Ach, ty artysto! – zawołała. – I po co ci takie wąsy?

– Jak to po co? – odrzekł wesoło. – Będę cię laskotał.

Przyciągnął ją do siebie i przytrzymując nadal warkocz pod nosem, pocałował. Basia oddała pocałunek, nie zważając na spoczywające ponad ich ustami pasma.

– Chodź – powiedziała, wyswobodzając się z jego objęć. Wstała i poprawiła sukienkę oraz włosy. Janek podniósł się niechętnie. Objął dziewczynę i poszli polną drogą do wsi.

Z daleka słyszeli muzykę i rozmowy. Gdy dotarli na podwórko, zauważyli pewne zmiany przy stołach. Goście podzielili się na grupy. Panowie zasiadali w jednym kręgu, z którego wydobywały się kłęby papierosowego dymu. Głośno dyskutowali i pobrzękiwali kieliszkami. Nietrudno było się domyślić, że tematem rozmów jest polityka i gospodarka. Kobiety siedziały w swoim gronie, a młodzież delikatnie odseparowała się od dorosłych, ciesząc się swoim towarzystwem. Tutaj zdecydowanie było najwesелей. Basia spostrzegła, że Andrzej i Helena są w centrum zainteresowania. Odkąd pojawili się w Olszynie, rozbudzili ciekawość jako przybysze z nieznanych terenów. Tutejsza młodzież obserwowała gości w kościele oraz podczas obiadu. Teraz, po wielu godzinach zabawy, atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Chociaż na ich stole nie było mocnych trunków, chłopacy zadbali, by każdy mógł skosztować choć odrobinę poza zasięgiem wzroku rodziców.

Dwie najmłodsze siostry Janka, Dorotka i Kasia, biegały wokół stołów ze Staszkiem i całą gromadką dzieci, bawiąc się w berka lub chowanego.

Andrzej uśmiechał się szeroko, zadowolony z obecności ładnych dziewczyn u boku. Po jednej stronie miał Hanke, siostrę Janka, a po drugiej Irene, przyjaciółkę Basi. Obie spoglądały na przystojnego chłopaka z zachwytem. On rozmawiał ze wszystkimi przy stole, nie zapominając o tym, by co chwilę skomplementować jedną lub drugą sąsiadkę. Obok Heleny siedział Eryk. Basia widziała, że kuzynka była z początku skrępowana wyjątkową atencją niemieckiego chłopaka, który w jej towarzystwie mówił po polsku, choć z wyraźnym akcentem. Zazwyczaj nie używał tego języka, rozmawiał wyłącznie po niemiecku, co w niczym nie przeszkadzało, bo zarówno mieszkańcy Olszyny, jak i większość Polaków z byłego zaboru pruskiego rozumiała ten język, podobnie jak tutejsi Niemcy rozumieli polski. Tym razem Eryk zmusił się, by mówić po polsku, w inny sposób nie mógłby porozmawiać z Heleną. Roztoczył przed dziewczyną cały swój czar, był ujmujący i przesadnie uprzejmy. Helena po kilku godzinach powściągliwości uznała, że chłopak jest całkiem miły i źle go oceniła. Rozmawiała z nim swobodnie i często tańczyła, czując się wyjątkowo atrakcyjnie w jego objęciach. Różnił się fizycznie od tutejszych chłopaków. Był wysoki i bardzo dobrze zbudowany, jego ubranie wyraźnie przewyższało jakością garderobę większości gości. Jasnobłękitna koszula pasowała idealnie do koloru jego oczu. Do tego zapach. Pierwszy raz w życiu czuła tak piękny męski aromat, nie wiedząc, że w aptece, którą wynajmuje Elza, na życzenie żony farmaceuty ustawiono małą gablotę z kilkoma perfumami w damskiej i męskiej wersji. Eryk otrzymał kiedyś niewielki flakonik oryginalnej wody kolońskiej Echt Kölnisch Wasser No. 4711, której

historia sięgała 1792 roku, kiedy to perfumy nierozzerwalnie związane były z przemysłem farmaceutycznym.

Helena pytała o zapach, a Eryk popisывał się i opowiadał o kompozycji aromatu, złożonej z nuty głowy, czyli bergamoty, cytryny i pomarańczy, nuty serca, czyli lawendy i rozmarynu, oraz bazy, którą był kwiat gorzkiej pomarańczy. Opowieść o wodzie kolońskiej pamiętał z dzieciństwa, kiedy Elza przemycała różne ciekawostki w postaci bajek na dobranoc. Słuchał wówczas zaciekawiony i zapamiętywał wiele faktów. Helena wsłuchiwała się oczarowana, a Eryk zerkał w stronę Basi, sprawdzając, czy udało mu się wywołać zazdrość, bo w tym celu kokietował jej kuzynkę.

Baśka z Jankiem dołączyli do towarzystwa.

– A co to za zmiany? – zagadnął Janek.

– A... trochę żeśmy się przegrupowali – odpowiedział wesoło Andrzej. – Siadajcie.

Zajęli miejsca, Andrzej napelniał kieliszek Janka, a Basia rozejrzała się po otoczeniu. Jej wzrok zatrzymał się na twarzy mamy, która patrzyła na nią z naganą. Dziewczyna zrozumiała od razu, że rodzicielka karci ją za nieobecność i towarzystwo Janka. Zagryzła usta i odwróciła wzrok. Poczucie winy nie pozwoliło jej usiedzieć na miejscu. Podeszła do stołu kobiet. Elza uśmiechnęła się do niej serdecznie, a mama zgromiła wzrokiem.

– Gdzie byłaś? – zapytała cicho i ostro.

– Na spacerze...

– Baśka! – syknęła mama. – Z nim? Tyle razy ci mówiłam...

– Mamo...

– Boję się o ciebie – wyjaśniła rodzicielka. – To za długo już trwa. Byłabym spokojniejsza, gdybyś go odprawiła.

Basia nie odpowiedziała. Nie rozumiała postawy mamy, nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego nie lubi Janka. Zrobiło się jej bardzo przykro. Pochyliła głowę.

– No dobrze. Dzisiaj nie czas na to. – Mama złągodniała. – Idź już. Tylko pilnuj się, proszę.

Basia nie zauważyła, że rozmowie przysłuchuje się ciocia Zosia. Nie miała wcześniej okazji porozmawiać z siostrą taty. Widziały się pierwszy raz w życiu, znała ją tylko z opowieści i listów. Podczas pierwszego spotkania ciocia wydawała się miłą.

– Chodź na chwilę – zawołała do Basi. – Usiądź przy mnie – zaproponowała.

Baśka wykonała polecenie, a ciocia odwróciła głowę i zerknęła na Janka siedzącego przy drugim stole.

– To ten twój? – zapytała.

Dziewczyna podążyła za jej spojrzeniem.

– Tak – powiedziała cicho.

– Ładny chłopak – rzekła pogodnie ciocia Zosia. – I uśmiecha się pięknie. Za tobą jest bardzo. To widać.

Baśka ożywiła się i uśmiechnęła lekko, a ciocia objęła ją ramieniem i szepnęła do ucha.

– Niczym się nie przejmuj. Słuchaj tylko serca, a będziesz szczęśliwa – zapewniła. – Mnie nie pozwolili wyjść za Mateusza, ale się uparłam. Nie żałuję, nigdy nie żałowałam, bo kocham i jestem kochana. Tylko serce – pamiętaj.

– Dziękuję – rzekła bratanica.

– I jeszcze przyjadę, i na waszym weselu też potańczę – zaśmiała się ciocia. – Idź do niego, życie ucieka.

Baśka ucałowała ciotkę w policzek i pobiegła do młodzieży. Usiadła obok Janka, a on uśmiechnął się, mrużąc oczy i objął ją ramieniem. Nie spojrzała więcej w stronę mamy.

Andrzej opowiadał Jankowi o skończonej niedawno służbie w 22 Pułku Artylerii Lekkiej w Przemyślu na Bakończycach, który wchodził w skład 22 Dywizji Piechoty Górskiej. Mówił o codzienności w pułku, o rozkładzie dnia. Chwalił sobie życie żołnierza i uważał, że mógłby zostać na stałe w wojsku, zadowolając się stopniem podoficera, bo na kolejne awanse nie miał szans z powodu braku matury. Wiedział jednak, że jego zadaniem, jako najstarszego syna, jest powrót do domu i pomoc w gospodarstwie, a potem jego przejście i dochowanie rodziców. Z czasów służby przywiózł pamiątkowe zdjęcie, które robili sobie z kolegami u fotografa w Przemyślu. Zosia nosiła taką fotografię w zniszczonej książeczce do nabożeństwa. Na zdjęciu w odcieniu sepii Andrzej był w mundurze kanoniera, w rogatywce z piórkiem i podhalanką na kołnierzu symbolizującymi pułki górskie oraz w wysokich butach z ostrogami. Prezentował się wspaniale, a Zosia z dumą spoglądała na to ujęcie.

Janek słuchał z zainteresowaniem opowieści Andrzeja. Starał się wyobrazić sobie służbę oraz codzienność w wojsku. Cały ten świat wydawał się zupełnie inny od wszystkiego, co znał.

– A co na komisji ci powiedzieli? – zapytał Andrzej. Wiedział, że Janek musi mieć za sobą ten punkt. Każdy chłopak po ukończeniu osiemnastego roku życia, w wieku poborowym stawał przed komisją lekarską, która była pierwszym etapem związku z armią. Taka wizyta decydowała o przydatności i kategorii, potem należało już tylko czekać kilka miesięcy na swój bilet.

– No, że do kawalerii najpewniej – odparł.

– Wiadomo – potwierdził Andrzej. – Jak ze wsi, to zazwyczaj do kawalerii. Gadasz z końmi całe życie, to wiesz, co i jak.

– No raczej na lotnika by mnie nie wzięli – zaśmiał się Janek.

Bardzo dobrze pamiętał swoje spotkanie z komisją lekarską. Pojechał wówczas rannym pociągami do Bydgoszczy. Chciał mieć to jak najszybciej za sobą. Nie lubił wypraw ani do Tucholi, ani do Bydgoszczy. Wydawało mu się, że wszyscy patrzą na niego i widzą, że jest zwykłym chłopakiem ze wsi. Zerkając na przechodniów, na ich styl ubierania się i swobodne zachowanie odczuwał przepaść między jego prostym życiem a miejskim zgiełkiem. Szedł szybko i odnalazł adres. Okazało się, że nie był jedyny. Na miejscu spotkał wielu chłopaków w swoim wieku, którzy pojawili się w mieście w tym samym celu. Jedni wychodzili, inni wchodzili przez podwójne drzwi. Janek usiadł na długiej ławie pod ścianą i czekał na swoją kolej. Nie czuł się najlepiej, odczuwał lekki ucisk w żołądku. „Jakbym do spowiedzi czekał” – zaśmiał się w myślach.

Oglądał towarzyszy, którzy prezentowali się podobnie. Miny zdradzały zdenerwowanie. Jeden tylko chłopak wydawał się zupełnie odizolowany od tych emocji, jakby nie zauważał świata wokół siebie. Na kolanach trzymał książkę i nie odrywał od niej oczu. Przewracał kolejne kartki z zadziwiającą szybkością. Janek dziwił się, że można czytać tak szybko. Chłopak na chwilę podniósł głowę znad lektury i spojrzał przed siebie. Zauważył, że ktoś mu się przygląda. Janek przyłapany na obserwacji poczuł się nieswojo.

– Chyba dobra? – zapytał, wskazując głową książkę, by nie wyjść na podglądacza.

– Wspaniała – potwierdził nieznajomy. – „Znachor”.

– Co?

– Taki tytuł – wyjaśnił chłopak. – „Znachor”, Dołęga-Mostowicz napisał.

– A to wiem – ucieszył się Janek. – Baśka czyta jego książki. – „Znachor”? – dopytał.

– Tak.

– Zapamiętam – stwierdził Janek. – To jak doktor. Jak ci tutaj. – Zerknął na drzwi gabinetu.

– Myślę, że dużo lepszy – powiedział cicho chłopak z książką i się uśmiechnął.

Janek odpowiedział uśmiechem. Wstał, by przysiąść się do rozmówcy, ale w tym momencie drzwi gabinetu uchyliły się i usłyszał swoje nazwisko.

– Muszę iść – rzekł, a nieznajomy kiwnął głową.

Janek wszedł do środka i stanął niepewnie przy drzwiach. Białe pomieszczenie wypełniały zwyczajne medyczne meble, parawan, kozetka i szafki. Za dużym biurkiem siedział wąsaty mężczyzna w białym fartuchu, na blacie spoczywała rogatywka. Lekarz pochylał głowę zajęty uzupełnianiem dokumentów.

Za parawanu wyszedł drugi postawny doktor w fartuchu ze stetoskopem przełożonym przez szyję. On również posiadał okazałe wąsy. Zmierzył Janka wzrokiem od stóp do głów.

– Zapraszam – powiedział. – Rozbierz się.

Janek zdjął koszulę, a medyk przystąpił do badania. Chłopak czuł się jak koń na targu. Doktor osłuchiwał, opukiwał, zaglądał do gardła, oglądał zęby, prostował plecy, zaznaczył palcem wskazującym kręgosłup. Janek wykonywał wszystkie polecenia, a badający podawał koledze za biurkiem swoje spostrzeżenia, aby ten mógł uzupełnić dokumentację.

– Ze wsi? – zapytał doktor.

– Tak – potwierdził Janek. – Z Olszynki.

– Konie w gospodarstwie są? – Usłyszał retoryczne pytanie.

– Się wie. – Chłopak się uśmiechnął. – Dwa – dodał z dumą.

– No to mamy kolejnego kawalerzystę – zwrócił się doktor do kolegi.

– Że do kawalerii? – zdziwił się Janek.

Lekarz zmarszczył brwi.

– A coś się nie podoba? – zapytał.

– No... Podoba się, ale w ułanach to prawie dwa lata, a w piechocie półtora roku...

– I co z tego?

– Bo ja w domu potrzebny – mówił niepewnie Janek. Perspektywa blisko dwóch lat w wojsku wydawała mu się wiecznością. – Ojciec sam w gospodarstwie... Tyle czasu...

Lekarz spojrział groźnie.

– A Polska to co? Nie twój dom?! Tu jesteś najpierw potrzebny.

Janek skulił się pod tym spojrzeniem.

– No tak, ale... – zaczął.

– Nie ma „ale” – przerwał lekarz. – Najpierw obowiązek wobec Ojczyzny, potem dom.

– Ojciec też tak mówi – przyznał chłopak.

– I dobrze mówi! – powiedział lekarz głośno. – A jak mówi, to wie i ojca trzeba słuchać!

Potem zwrócił się do kolegi.

– Wszystko w porządku. Trochę niedożywiony i chudy, ale tak jak oni wszyscy.

– Może i jestem chudy, ale za to silny – wtrącił Janek.

Obaj lekarze spojrzeli na niego zaskoczeni. Doktor zza biurka uśmiechnął się lekko, a jego kolega odezwał się.

– Niedożywiony, chudy i do tego pyskaty!

Janek zrozumiał, że się zagalopował. Lekarz patrzył na niego, ściągając brwi.

– Pytał cię ktoś o zdanie? – zapytał tubalnie. – A ty wiesz, z kim rozmawiasz?

Janek milczał przez chwilę. Odpowiedź wydała mu się oczywista, ale jednocześnie zastanawiał się, czy w tym bardziej niż prostym pytaniu nie kryje się podstęp. Zaryzykował.

– Z doktorem? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Z majorem, gamoniu! – huknął lekarz.

Janek skulił się, czekając na dalszą reprimendę, gdy usłyszał cichy chichot lekarza zza biurka, który śmiał się, zasłaniając usta dłonią, by zachować dyskrecję. Nie wytrzymał zbyt długo i parsknął na cały głos, odwracając głowę, by nie przykuwać uwagi. Kolega w fartuchu i Janek wbijali w niego wzrok.

– A ciebie co tak śmiesz, Tadeusz? – zapytał nachmurzony doktor, który przed momentem łajał Janka.

Lekarz zza biurka próbował się uspokoić.

– A przypomniało mi się, co opowiadał doktor Majewicz z Wilna. Pamiętasz?

– Nie – przyznał kolega i czekał na wyjaśnienie z gradową miną.

– Jak emerytowany kontradmirał Borowski, co mieszkał w Nowej Wilejce, przyszedł po córkę do pułku, by odebrać ją z lekcji jazdy konnej dla pań. Jak go wartownik Białorusin pouczał, pytając, co robi na terenie pułku? To samo mu powiedział, co ty temu tu delikwentowi. – Uśmiechnął się do Janka, a potem zacytował odpowiedź. – „Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz? Jestem admirałem, to znaczy generałem od marynarzy! Przepróż!” A ten wartownik wybuchnął zdrowym, żołnierskim śmiechem i powiedział coś na kształt: „Patrzej, patrzej! Do czego to doszło, że kolejarze podawają się za gienierałów! Tu w Nowej Wilejce morza nie ma, marynarzów też ja nie widział, to i skąd by się wziął tutaj admirał?”. – Lekarz przedrzeźniał wschodni akcent.

– Pamiętam! – Doktor, który badał Janka, klepnął się po kolanie i roześmiał na cały głos. – Tam wtedy niezła awantura w szwadronie wybuchała. Dostali dowódcy plutonu i podoficerowie, którzy uczyli rekrutów rozpoznawać stopnie marynarskie, ale nie nauczyli. Ten wartownik mówił, że w życiu marynarza nie widział, a granatowy płaszcz admirała ze złotymi guzikami był według niego taki sam, jak u kolejarzy.

Obaj lekarze śmiali się zdrowym, żołnierskim śmiechem przez jakiś czas. Dopiero po chwili przypomnieli sobie o obecności Janka, który dla pewności nie odzywał się więcej.

– Teraz wiesz – pouczył mocnym głosem lekarz. – Ucz się pilnie stopni, żebyś wstydu nie narobił sobie i przełożonym. No, idź już. Coś mi się wydaje, że będą mieli z ciebie pociechę w pułku. – Mrugnął do kolegi.

Janek pożegnał się i wyszedł. Za drzwiami odetchnął z ulgą. Cieszył się, że kolejne spotkanie z wojskiem czeka go dopiero za kilka miesięcy. Chłopak z książką spojrział na niego z ciekawością. Janek uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– „Znachor”? – upewnił się, spoglądając na książkę.

– Tak – potwierdził chłopak. – A tamci? – zapytał, wskazując drzwi.

– Jeden major, drugi nie wiem... – odparł Janek i się wzdrygnął.

Nieznajomy uniósł brwi zdziwiony odpowiedzią, nie o to pytał. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale w tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł kolejny poborowy. Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Przykuł uwagę obecnych. Wysoki, szczupły blondyn, dumnie wyprostowany, w modnym ubraniu poruszał się pewnie i wydawał się czuć jak ryba w wodzie. Nie okazywał cienia niepokoju. Przeszedł przez poczekalnię i usiadł na ławie.

Janek popatrzył jeszcze przez chwilę, a potem podał rękę chłopakowi z książką.

– Ja wracam. Janek jestem. Może się jeszcze spotkamy.

– Michał – przedstawił się nieznajomy i odwzajemnił uścisk. – Może się spotkamy.

Razem zerknęli w stronę wysokiego blondyna, który poprzez postawę i modny strój kojarzył się im z którymś z filmowych amantów.

„Coś między Aleksandrem Żabczyńskim a Jerzym Olgierdem” – pomyślał Michał. – „My przy nim jak furmanki przy samochodzie”. – Zaśmiał się w myślach z własnego żartu. Chciał coś powiedzieć do Janka, ale w tym momencie usłyszał swoje nazwisko i ruszył do gabinetu lekarskiego.

– Do zobaczenia – rzekł.

– Cześć – odparł Janek i wyszedł z budynku.

Szedł szybko, chcąc zapomnieć o wrażeniach z gabinetu. Do pociągu miał blisko dwie godziny, więc postanowił pójść okrężną drogą poprzez najbardziej znane ulice w Bydgoszczy. Zawędrował na rynek i przeszedł na Długą. Spoglądał zaciekawiony na sklepowe witryny. W pewnym momencie stanął przed księgarnią. Jego uwagę przykuł tytuł książki wyłożonej na samym środku – „Znachor”. Sięgnął do kieszeni i przeliczył pieniądze. Dostał kilka złotych na wszelki wypadek. Nie zamierzał wydać ani grosza poza kupnem biletu kolejowego. Teraz bił się z myślami. Wszedł do księgarni i poprosił o książkę.

Całą drogę na dworzec i potem w pociągu odczuwał lekkie wyrzuty sumienia z powodu wydatku, ale jednocześnie nie mógł się doczekać miny Basi. Siedział w pociągu na twardej ławce przy oknie i obserwował otoczenie, rozmyślając o momencie, w którym wręczy dziewczynie prezent. Gdy pociąg zatrzymał się w Starym Potoku na leśnej stacji, dojrzał, że z sąsiedniego wagonu wysiadł chłopak, którego poznał tego ranka, Michał. Szedł teraz wzdłuż peronu, zmierzając do wyjścia z terenu stacji. Pociąg ruszył, a Michał spojrzał na wagony. Dojrzał Janka w oknie, uśmiechnął się i pomachał. Janek podniósł rękę i odwzajemnił uśmiech.

Przejechał jeszcze dwa przystanki i wysiadł w Olszynie. Miał wrażenie, jakby nie było go całe wieki. Na stacji czekała Basia. Janek zeskoczył ze schodków pociągu i podszedł do niej, chowając za plecami niespodziankę. Uśmiechała się na jego widok, a on wyciągnął przed siebie paczuszkę.

– Dla ciebie – powiedział.

– Naprawdę? – zdziwiła się. Przyglądała się podarunkowi, zastanawiając się, co może kryć. Pomyślała, że być może chłopak zrujnował się na czekoladki. Otwierała niecierpliwie.

– „Znachor”! – zawołała zachwycona. – Janek... Dziękuję. Słyszałam o niej. Mają kupić do biblioteki, ale jeszcze nie teraz. Tak się cieszę! To już wiem, co będziemy robić w niedzielę. – Poglądziła okładkę.

– Ja też wiem, co będziemy robić w niedzielę... – odparł i uśmiechnął się, mrużąc oczy, a potem przyciągnął dziewczynę, by ją pocałować. – Właśnie to.

Książka towarzyszyła im w kolejne niedzielne popołudnia. Janek nigdy nie żałował wydanych na nią pieniędzy. Był zachwycony opowieścią i nie dziwił się, że chłopak w poczekalni na komisji lekarskiej tak szybko przewracał kartki. On sam nie mógł się doczekać dalszego ciągu.

Dla Basi egzemplarz „Znachora” był największym skarbem. Wszystkie książki wypożyczała z biblioteki, a teraz miała swoją własną, pachnącą świeżością, zupełnie nową, która nie знаła dotyku innych rąk. Cieszyła się nią i wiedziała, że będzie wracać do niej wielokrotnie. Poza wspaniałym przekazem i faktem, że książka należała tylko do niej, najważniejsze było to, że dostała ją od Janka. Ten prezent był wyznaniem, którego nie mogła wydobyć z jego ust. W chwili, gdy podawał jej paczuszkę i mówił: „Dla ciebie”, widziała w jego oczach blask, jakiego nie można pomylić z żadnym innym. Miłość.

Ciocia Zosia z rodziną została jeszcze kilka dni po weselu. Czekala ich długa droga. Musieli dojechać do Bydgoszczy, potem przesiąść się w Warszawie na pociąg do Kielc, a stamtąd dotrzeć do domu. Zdawali sobie sprawę, że kolejna taka wyprawa nie zdarzy się szybko. Zapraszali do siebie. Tata Basi obiecywał, że przyjadą na wesele Andrzeja i uśmiechał się znacząco do chrześniaka. Ten twierdził, że szybsza będzie Helena, bo adoratorów jej nie brakuje, ale siostra zaprzeczała. Mówiła, że chce się uczyć i zostać pielęgniarką, wyjechać do miasta i pracować w szpitalu.

W Olszynie wszyscy czuli się bardzo dobrze. Na skromnych poprawinach pojawił się Eryk, który nie odstępował Heleny, zajmując ją rozmową. Basia nie poznawała chłopaka,

który starał się zrobić jak najlepsze wrażenie, i rzeczywiście mu się to udało. Helena była oczarowana, a Baśka myślała, jak bardzo można się pomylić i jak wyrafinowany jest chłopak. Irena cieszyła się, że Hanka, siostra Janka, nie mogła przyjść, dzięki czemu Andrzej całą uwagę skoncentrował na niej. Dorośli żartowali, że jeszcze kilka dni i Andrzej znajdzie sobie żonę na Pomorzu. Wspólny czas minął szybko i rodzina wracała do siebie.

Ciocia Zosia ucałowała Baškę na pożegnanie i zaczęła szeptać jej do ucha.

– Tylko serce. Pamiętaj. Trzymaj się tego Janka. Będziesz szczęśliwa.

– Już jestem, ciociu. – Dziewczyna się uśmiechnęła.

Wieczorem wymknęła się na spotkanie z Jankiem. Leżeli w trawie na swojej polance, zielen drzew nad głowami delikatnie zmieniała odcień, na brzożach można było dojrzeć kilka złotych listków. Powietrze pachniało zbliżającą się jesienią.

– Zaraz wrzesień i babie lato – powiedziała Basia. – Ile czasu nam zostało? – zapytała.

– Do kawalerii biorę w październiku... – odparł cicho chłopak.

– Tylko dwa miesiące. Będę bardzo tęsknić.

Janek uniósł się i oparł na łokciu. Spojrzał w jej zielone oczy.

– Ja mocniej – powiedział.

Basia przyciągnęła go do siebie i poczekała, aż poprzez załamanie obojczyka i linię żuchwy odszuka ustami drogę do jej ust.

Stary Potok

Dziewiętnastoletni Michał Janczar siedział na ławeczce ustawionej przy ścianie kuźni i trzymał na kolanach zniszczony druk „Pana Wołodyjowskiego”. Jeśli tylko znajdował chwilę, wracał do tej książki z przyjemnością. Nigdy mu się nie znudziła i nie zdetronizowała jej żadna inna, mimo że czytał wszystkie, jakie tylko trafiały w jego ręce. Uwielbiał trylogię Sienkiewicza, ale ostatnia część zdecydowanie była jego ulubioną. Ojciec żartował, że to przez imię, które syn dostał po swoim dziadku, a ten miał je podobno nosić na cześć Sienkiewiczowskiego Małego Rycerza.

Michał był synem kowala. Żył tylko z ojcem. Mama zmarła, wydając go na świat, a tata nigdy nie związał się z inną kobietą. Do opieki nad noworodkiem wynajął mamkę, a potem, nim synek skończył dwa lata i wymagał dużo uwagi, najmował nianie. Najczęściej były to dziewczyny ze Starego Potoku, które chciały zarobić kilka złotych. Każda była bardzo zadowolona z tego zajęcia. Michał był niezwykle grzecznym dzieckiem, spokojnym i cierpliwym. Kiedy skończył dwa latka, ojciec zabierał go ze sobą do kuźni, a popołudniami do małego sadu, który był niezwykle ważnym miejscem. Wszystkie drzewka posadził na specjalne życzenie żony, która marzyła o własnym sadzie. Zanim drzewka zaczęły owocować, mama Michała była już po drugiej stronie życia. Ojciec pielęgnował je troskliwie, tak jak pamięć o ukochanej żonie. Dbał o każde drzewko, przycinał, podwiązywał, walczył ze szkodnikami, ratował w przypadku choroby. Co niedziela chodził na cmentarz i spędzał tam kilka godzin, opowiadając żonie o synu, domu, sadzie i pracy.

Michał nie tęsknił za mamą. Wiedział, że istniała, spoglądał na jej duże zdjęcie umieszczone na ścianie domu, na ślubny portret rodziców, czuł więź poprzez opowieści taty, ale brak obecności mamy nie był dla niego tak bolesny, jak dla ojca. Pan Józef każdego dnia myślał o swej Małgorzacie, która pozostała miłością jego życia. Michał odziedziczył po mamie migdałowy kształt szarych oczu, spojrzenie i kolor włosów. Tata patrzył z miłością na syna, odnajdując w twarzy dziecka, a potem nastolatka rysy żony.

Łączyła ich silna więź. Mieli tylko siebie i spędzali razem dużo czasu. Chłopak wychował się w męskim świecie. Ojciec stanowił całą jego rodzinę, w kuźni pojawiali się wyłącznie mężczyźni, jego autorytetem był ulubiony nauczyciel, pan Julian. Wolne chwile spędzał w towarzystwie kolegów i młodszych chłopaków ze Starego Potoku, którzy z biegiem czasu znaleźli w nim wzór.

Grali wspólnie w piłkę, pływali w jeziorze, urządzali ogniska, bawili się w podchody. Marzyli o tym, by stworzyć prawdziwą drużynę harcerską. Michał za namową

wychowawcy ukończył w Bydgoszczy gimnazjum. Reforma polskiego systemu szkolnictwa zwana jędrzejewiczowską od nazwiska autora, ministra Janusza Jędrzejewicza, ujedynoliciła system i opanowywała chaos organizacyjny będący jeszcze pozostałością po zaborach. Od 1932 roku istniał jeden podział. Pierwszym etapem była szkoła powszechna, siedmioklasowa dla uczniów, którzy edukację kończyli na tym etapie, oraz sześcioklasowa dla tych, którzy chcieli kontynuować naukę. Kolejnym była sześcioklasowa szkoła ogólnokształcąca podzielona na czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum. Liceum było już szkołą elitarną, umożliwiała rozpoczęcie studiów.

Michał bardzo chciał zostać nauczycielem. Ukończenie gimnazjum dawało mu tak zwaną małą maturę, dzięki której mógłby uczyć się dalej w trzyletnim liceum pedagogicznym, będącym nową wersją dawnych seminariów nauczycielskich.

Nauka w liceum oznaczała jednak kolejne koszty, na które musiałby narazić ojca. Do gimnazjum w Bydgoszczy dojeżdżał pociągiem, nie było ich stać na to, by mieszkał w mieście na czas nauki.

Kolejne trzy lata szkoły byłyby dużym wyzwaniem. Ojciec zapewniał syna, że poradzą sobie i zachęcał, by uczył się dalej i spełnił swoje marzenia. Jednak wówczas Józef poważnie zachorował na nerki. Michał nie chciał zostawiać ojca, wiedział, że jest potrzebny w domu, w miarę swoich możliwości i umiejętności zastępował rodzica w kuźni. Leczenie pochłonęło skromne oszczędności Janczarów. Minął rok i ojciec wrócił do zdrowia. Michał nadal pomagał, razem pracowali w kuźni, w domu i w sadzie.

Wiedział, że jeżeli nie podejmie nauki, pójdzie do wojska i w tej chwili uznał, że to najlepsze rozwiązanie, o liceum pedagogicznym obiecał sobie pomyśleć po skończonej służbie. Pan Julian mówił, że z otwartymi ramionami przyjmie młodego nauczyciela, a Michał wiedział, że najlepiej będzie się czuł w roli historyka i równie chętnie zajmie się wychowaniem fizycznym młodzieży. Historia i sport były jego pasjami. Wiedzę na temat przeszłości czerpał z książek, które czytał od najmłodszych lat. Miejscową bibliotekę znalazł jak własną kieszeń, w domu miał jeden mały regał z książkami, o które prosił w ramach prezentu świątecznego lub urodzinowego. Najważniejsze miejsce na półce zajmowała trylogia Sienkiewicza.

Informacje na temat sportu zbierał z radia i prasy. Ekscytował się osiągnięciami polskich sportowców.

Choć Polska po latach zaborów ze względu na skromne fundusze i brak wystarczająco długich tradycji nie mogła pokonać odległości, jaka dzieliła ją w tej dziedzinie od krajów Europy Zachodniej, to każdy sukces był źródłem nieopisanego radości. Michał znał na pamięć wszystkie miejsca i daty, które zapisały się mniejszym lub większym zwycięstwem oznaczonym białą-czerwoną flagą. Kadra jeździecka złożona z oficerów kawalerii zdobywała medale olimpijskie w Paryżu i Amsterdamie, a prasa donosiła, że major Kazimierz Szosland, major Adam Królikiewicz, podpułkownik Karol Rómmel, choć jak na jeźdźców przystało, niewysocy i drobni, byli ubóstwiani przez publiczność. Michał jako chłopiec wylapywał w gazetach każdą wzmiankę na ich temat. W książkach trzymał prasowe wycinki i zdjęcia. Na jednej z takich fotografii pozowali oficerowie

z końmi, którzy brali udział w 1926 roku w Międzynarodowych Zawodach Hippyckich o Puchar Narodów w Nowym Jorku. Wyglądali niepozornie, a Michał uważał, że każdy z nich ze względu na drobną postawę ma coś wspólnego z Wołodyjowskim, każdy z nich w oczach chłopca był współczesnym Małym Rycerzem.

Kolejny idol, Roger Verey, zdobył dla Polski dwukrotnie mistrzostwo Europy we wioślarskich jedynkach, a w dwójkach brązowy medal na igrzyskach olimpijskich w Berlinie w 1936 roku, był też kilkakrotnie mistrzem Europy. Sławny Janusz Kusociński, wielokrotny mistrz Polski w biegach, wygrał w 1932 roku doskonale obsadzony bieg na dziesięć tysięcy metrów w Nowym Jorku. Był wzorem dla wielu, bo łatwiej było naśladować lekkoatletę niż jeźdźca czy wioślarza.

Michał czytał o modzie na sport, o najbardziej popularnych dyscyplinach, takich jak tenis ziemny czy narciarstwo, lecz były to zajęcia poza zasięgiem zwykłych ludzi, podobnie jak taternictwo czy alpinizm. Nigdy nie był w górach. Nie przejmował się jednak takimi brakami, uważał, że skoro nie spróbował, to nie może wiedzieć, czy jakaś dyscyplina by mu się spodobała. Rozumiał też doskonale, jaką satysfakcją jest przygoda ze sportem, jak ogromnie poprawia nastrój i jednocześnie w jakiś sposób uzależnia od siebie. Nie wyobrażał sobie, by pozostać biernym. Często, gdy kończyli z ojcem pracę w kuźni, zastawało ich późne popołudnie, a chłopcy już czekali z piłką. Michał domykał w pośpiechu dzień pracy i biegł z nimi na boisko lub nad jezioro. Gdy udało się zebrać kilka rowerów, w niedzielę urządzali sobie rajd po okolicznych wsiach.

Dobrymi wiadomościami ze świata sportu dzielił się z chłopakami, chcąc umocnić w nich dumę oraz zaszczeić chęć do wytrwałości i dążenie do celu. Nie umiał się powstrzymać, by nie nauczać. Za każdym razem podsyczał iskierkę patriotyzmu, głód wiedzy, a oni, mimo że młodszy zaledwie o cztery lub pięć lat, słuchali go z zainteresowaniem. Czasem przywoływał się do porządku, uznając, że prawi za długie i nudne kazania.

„Wychodzi ze mnie przyszły belfer” – śmiał się w myślach. – „Zaraz mnie znienawidzą, za te mądrości”. Jednak gdy słyszał: „Opowiedz coś jeszcze...”, zaczynał nową historię. Wolał mówić o przeszłości, o dawnych bohaterach, bitwach, potyczkach. Interesowały go też ciekawostki ze świata i jeśli tylko się o czymś dowiedział, natychmiast mówił o tym kolegom. Był wiecznie głodny wiedzy i potrzeby, by przekazywać ją dalej. Jeśli coś go zainteresowało, szukał informacji tak długo, aż był pewien, że poznał każdy szczegół. Nowinki techniczne nie budziły w nim tak ogromnej ciekawości jak przeszłość, jednak gdy miał okazję obejrzeć u kogoś nowy zegarek, radio czy też nieznaną sprzet rolniczy we wsi, zawsze robił to uważnie, zastanawiając się, jak działają poszczególne elementy.

Jedynym tematem, jakiego nie lubił, była polityka, która nieustannie zajmowała ojca i pana Juliana.

Czasem po pracy nauczyciel przychodził z wizytą, panowie siadali wtedy na ławeczce przy kuźni i przez długie godziny rozprawiali o sytuacji politycznej kraju i świata. Analizowali najnowsze doniesienia, roztrząsali słowa poszczególnych mężów stanu, deliberowali na temat przepychanek w rządzie i programach partii. Obaj byli weteranami Wielkiej Wojny, a pan Julian brał też udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku.

Michał uwielbiał słuchać o wojennych przeżyciach, wypytywał o każdy dzień, znał na pamięć te opowieści, których największą siłą były szczęśliwe zakończenia. Okropności Wielkiej Wojny nie wydawały się tak straszne, bo ich finałem było odzyskanie niepodległości po stu dwudziestu trzech latach zaborów. Podobnie wojna z 1920 roku i zwycięstwo nad bolszewikami. Oba te wydarzenia były wręcz symboliczne, a ich rocznice obchodzono zawsze uroczyście, zarówno w Starym Potoku, jak i w całej Polsce.

Rocznica Cudu nad Wisłą wypadła 15 sierpnia, dlatego były to zawsze dużo przyjemniejsze imprezy niż listopadowe święto. W sierpniu oprócz oczywistej mszy i oficjalnych uroczystości często urządzano pełen atrakcji festyn, a wieczorem na drewnianej podłodze przygotowanej nad jeziorem mieszkańcy tańczyli do rana. Pan Julian opowiadał, że początkowo pojęcie „Cud nad Wisłą” wcale nie miało pozytywnego znaczenia. Używając tych słów podczas wojny polsko-bolszewickiej, prasa wątpiła w zdolności polskich dowódców, uważając ich pomysły za nietrafione. Pisano wówczas, że tylko cud jest w stanie pomóc i rzeczywiście tak się stało, a określenie „Cud nad Wisłą” oznaczało spektakularne zwycięstwo.

W listopadzie uroczystości odbywały się w szkole, a potem organizowano pochód, o ile drogi nie zamieniły się w błoto i nie padał deszcz. Od 1933 roku, dokładnie rok od pierwszych uroczystości w Gdyni, ważnym wydarzeniem w Starym Potoku było Święto Morza. Jednak najbardziej oczekiwanym i przynoszącym najwięcej emocji była Sobótka, czyli Noc Świętojańska.

Pan Julian twierdził, że Sobótka jest wpisana w geny, bo towarzyszyła ludziom od najdawniejszych pogańskich czasów przez wszystkie pokolenia. Od momentu, gdy jeszcze bogiem był Perun, niewiele zmieniło się w obrzędach tej nocy, a chrześcijaństwo, nie mogąc wypłenić tej silnej tradycji, po prostu przystosowało ją do siebie. Wszyscy wiedzieli, że to noc świętego Jana, jednak tak naprawdę dużo ważniejsze od święcenia wody były stare zwyczaje związane z letnim przesileniem. Nikt nie kąpał się w jeziorze czy rzece w dniu poprzedzającym, bojąc się utopców, wodników czy rusalek, do wody wchodziło nocą. Palono ogniska, które symbolizowały słońce, i chłopacy skakali przez płomienie, co miało wypędzać zło i przynosić zdrowie i pomyślność. Dziewczęta plotły wianki i wypuszczały je na wodę z zapalonymi świecami, pilnując, by żadna nie zgasła. Bawiono się całą noc. To było ważne święto, zwłaszcza na wsi, bo wiązało się z powrotem czasu dobrobytu, szczęścia i urodzaju. Kończył się okres wiosenny, zaczynało lato i ludzie przygotowywali się do żniw. Wszyscy lubili tę noc i czekali na nią z niecierpliwością.

Michał za każdym razem pomagał panu Julianowi, jeśli ten z racji swojego zawodu prowadził uroczystości i organizował świętowanie. Angażował chłopaków, pilnował ich i zachęcał, a oni chętnie spędzali czas w towarzystwie starszego kolegi, który nie traktował ich jak dzieci, ale równych sobie. Miał siłę przyciągania i mnóstwo cierpliwości, a jego opowieści były bardzo ciekawe. Mówił w taki sposób, że nie zauważali, kiedy znali kolejną ciekawostkę, datę czy ważne nazwisko. Każdy moment był dobry, by dzielić się wiedzą, a Michał kompletnie nad tym nie panował. Wiadomości przemyczał nieświadomie, w zwykłej rozmowie i zabawie.

Chłopcy często towarzyszyli mu w kuźni podczas pracy, czekając na koniec. Michał zazwyczaj wykonywał tam mnóstwo dodatkowych robót, a ojciec zajmował się kuciem. Chłopak znał wszystkie rodzaje i kształty końskich kopyt oraz anatomię tego zwierzęcia, co dla kowala było koniecznością. Ojciec mówił, że kowal jest troszkę weterynarzem, bo nie sposób działać tylko w jednym miejscu ciała, nie znając powiązań. Po wielu latach w kuźni Michał mógł opowiedzieć setki historii związanych ze zdrowiem i użytkowaniem koni na wsi.

Gdy przychodzili chłopcy, obserwowali Michała, który werkował kopyta i zadawał pytania, podnosząc co chwilę głowę znad umieszczonego między kolanami kopyta. Wskazywał poszczególne miejsca, a piętnastoletni Grzesiek, Wiktor czy Łukasz prześcigali się, by je nazywać: puszka, strzałka, podeszwa, ściana. Michał opowiadał o tym, jak w nodze konia krew płynie tętnicami palcowymi, a gdy strzałka dotyka podłoża, wywiera nacisk na poduszczyk opuszek kopytowych wewnątrz, która pod tym ciężarem wypycha krew wyżej. Chłopcy dowiadywali się, że końskie kopyto nie jest sztywne, ale sprężyste i elastyczne, a uderzając o podłoże, zmienia kształt, dopasowując się do obciążeń, oraz że tylko zdrowe i poprawnie wykształcone elementy są w stanie przyjąć obciążenia związane z uderzeniem kopyta o grunt. Michał mówił, że to tak jak w wachlarzu, bo działanie kopyta polega na powtórkach rozszerzania się i zwężania puszki kopytowej, a to wszystko dzięki amortyzacji uwięzionej w kopycie krwi. Opowiadał, że kopyta unaczyniają dwie tętnice, zmieniające się w prawdziwą sieć, oplatając kość kopytową, wnikając w nią i odżywiając, a krew zbierana jest przez rozmieszczone równomiernie żyły.

– To taka siatka – wyjaśniał. – Amortyzuje i pompuje. To działa na cały organizm. Zgadnijcie, ile krwi przepływa w kopycie?

Chłopcy zastanawiali się przez chwilę.

– Nie jest duże, jak spora pięść – kalkulował Grzesiek. – Może pół litra na dzień?

– Pół litra to ma flaszka w gospodzie – zaśmiał się Michał. – Przez prawidłowo działające kopyto przepływa jeden litr krwi na każde dwadzieścia kroków.

Chłopcy spojrzeli z powątpiewaniem na końskie kopyto, które piłował Michał, próbując sobie wyobrazić tę ilość w tak małej przestrzeni.

– Niemożliwe! Nie bujasz? – zapytał Wiktor.

Michał pokręcił głową.

– Nie bujam – zapewnił. – Niekiedy mówi się, że koń ma pięć serc.

– Jak to?

– Każde kopyto to dodatkowe serce. To kolejna pompa. Dlatego zdrowe kopyta to gwarancja zdrowia konia, a gwarancja zdrowych kopyt to...? – zapytał ciekawy, czy pamiętają jego nauki.

– To ruch.

– Tak – potwierdził. – Koń musi się ruszać, by być zdrowym. Wtedy te jego pięć serc pracuje równo. No dobrze. To teraz powiedzcie, ile by było półlitrowych flaszek na sto kroków? Kto pierwszy policzy?

– To rachunki! – zaprotestował Grzesiek, ale natychmiast podał odpowiedź.

Innym razem, gdy byli jeszcze maluchami, podglądali, jak pan Józef podkuwał, a Michał stał z przodu i głośno po wielkiej i umięśnionej szyi ogromną klacz, chcąc ją uspokoić. Wierciła się, odwracała głowę, wyraźnie niezadowolona z tego, co jej robią.

– Zobaczcie, jaka potężna szyja – powiedział do chłopaków Michał. – Ile tu musi być kręgow? – Udawał, że się zastanawia i uśmiechnął się pod nosem.

– No ile? – zapytał Wiktor.

– A ty ile masz? – odpowiedział pytaniem Michał.

– No... siedem?

– Tak, zgadza się – potwierdził młody kowal. – A taki koń? Ile? – Uśmiechał się, zadając pytanie.

Chłopcy spoglądali po sobie.

– Koń to chyba z piętnaście – rzucił Grzesiek.

– A żyrafa? – dopytał, nie przestając się uśmiechać Michał.

– Ooo... żyrafa to pewno ze trzydzieści – zgadywał Łukasz.

Michał roześmiał się głośno i pokręcił przecząco głową.

– Głupiś! – wykrzyknął Wiktor. – I koń, i żyrafa też mają siedem, tylko dużych.

Grzesiek i Łukasz spojrzeli na Michała, chcąc usłyszeć potwierdzenie.

– Dokładnie tak – przyznał. – Zapamiętacie?

– Się wie!

Pewnego razu w kuźni Michał prosił, by chłopcy wskazali poszczególne części szkieletu konia, zaznaczając na ciele, gdzie to może być. Bezskutecznie szukali obojczyka. Michał, uśmiechając się pod nosem, nakazywał, by szukali dokładniej, a gdy się poddali, dowiedzieli się, że koń obojczyka nie posiada. Zapewniali, że zapamiętają to do końca życia.

Chłopcy przychodzili często. W czasie lata spędzali razem wieczory przy ognisku nad jeziorem. Tuż przed snem układali się wokół ognia zmęczeni zabawą, kąpielą i kawałami, jakie sobie robili, a Michał wyjmował z małego płóciennego plecaka książkę oraz latarkę i czytał im najciekawsze fragmenty „Starej baśni” Kraszewskiego lub „Quo vadis”, „W pustyni i w puszczy” czy trylogii Sienkiewicza. Oni za każdym razem domagali się przygód, walk, bitew, a gdy znajdował się u progu romantycznego wątku, popędzali, twierdząc, że to nieznośnie nudne.

– Jeszcze przyjdzie wasz czas. – Michał się śmiał.

– A ty? – pytali. – Starszy jesteś, a panny nie masz.

– Ale wiem, że to na pewno nie jest nudne... – Uśmiechał się. – A moja się jeszcze nie narodziła – żartował.

Przyznawał w duchu, że relacje z dziewczynami to jedyna sfera życia, w której kompletnie sobie nie radzi. Tutaj nie wystarczały wzorce z książek. Kobiety wydawały mu się należeć do innego świata, którego nie miał okazji podejrzeć, żyjąc tylko z ojcem, w otoczeniu kolegów, opierając się na autorytecie nauczyciela. Gdyby była mama albo siostra, lub nawet macocha czy przyrodnie siostry, być może byłoby to prostsze, nikogo takiego jednak nie miał. W kontakcie z dziewczynami zupełnie gubił słowa i zastanawiał się,

o czym rozmawiać. Wydawało mu się, że wszystko, co powie, jest niewłaściwe i nieciekawe. Jednocześnie czuł, że ten inny świat bardzo go pociąga, lubił delikatność dziewczęcych rysów, kształty, uśmiech i spojrzenia. Gdy widywał się z koleżankami, zwłaszcza tymi, które działały na niego szczególnie, wiedział, że nie wypada najlepiej, bo zamiast rozmawiać, wpatrywał się w oczy, myślał o tym, jak miękkie muszą być w dotyku włosy zaplątane w warkocze, jak kuszący jest ich zapach i zastanawiał się, jak smakują usta. Gdy budził się z tych przemyśleń, uświadamiał sobie, że wychodzi na nieciekawego milczka.

W tej chwili postanowił się tym zupełnie nie przejmować. Czekają go wojsko. Może gdzieś po drodze sytuacja się zmieni.

– Za mundurem panny sznurem – śmiał się pan Julian. – Jeszcze będziesz wybierał – zapewniał, a Michał się uśmiechał.

– Nie potrzeba – odparł. – Wystarczy, gdy mnie wybierze ta, którą ja wybiorę.

– Mądry chłopak jesteś. Niech ci się trafi najlepsza.

Teraz, pod koniec sierpnia, Michał coraz częściej myślał o służbie. Wiedział, że najprawdopodobniej czeka go kawaleria. Kilka miesięcy wcześniej pojechał do Bydgoszczy na wojskową komisję lekarską.

Zapamiętał ten dzień, bo poprzedniego popołudnia dotarł do biblioteki egzemplarz najnowszej powieści Dołęgi-Mostowicza „Znachor”. Michał był pierwszym, który wypożyczył książkę. Zaczął czytać wieczorem i nie umiał się oderwać do późnej nocy. Rano zapakował lekturę do małego, płóciennego plecaka, wziął pieniądze na bilet i pojechał do Bydgoszczy. Do „Znachora” wrócił w pociągu, a potem w poczekalni przed komisją. Nie rozglądał się dookoła, zatopiony w kartach powieści, ale kątem oka zauważył, że przygląda mu się ciemnowłosy, szczupły chłopak, siedzący naprzeciwko. Popatrzył na niego, a tamten zmieszany zapytał o książkę. Zamienili kilka słów i towarzysz został wezwany do gabinetu lekarskiego. Gdy wyszedł, Michał miał wrażenie, że chłopak jest lekko przestraszony. Próbował go zapytać o cokolwiek, ale dowiedział się tylko, że jeden z lekarzy to major, choć zależało mu na innych wiadomościach. Gdy miał już wypowiedzieć kolejne pytanie, ich uwagę zwrócił jeszcze jeden poborowy, który wszedł do poczekalni. Wysoki blondyn. Odróżniał się od wszystkich – modne ubranie, wyprostowana sylwetka, pewna duma w oczach, wydawał się kimś z innego świata.

– Ja wracam. Janek jestem – powiedział szczupły, ciemnowłosy chłopak. – Może się jeszcze spotkamy.

Michał podał swoje imię i odwzajemnił uścisk.

– Może się spotkamy – dodał.

Razem zerknęli w stronę wysokiego blondyna, który poprzez postawę i modny strój kojarzył się im z którymś z filmowych amantów.

– „Coś między Aleksandrem Żabczyńskim a Jerzym Olgierdem” – pomyślał Michał. – „My przy nim jak furmanki przy samochodzie”. – Zaśmiał się w myślach z własnego żartu. Chciał coś powiedzieć do Janka, ale w tym momencie usłyszał swoje nazwisko i ruszył do gabinetu lekarskiego.

- Do zobaczenia – rzekł.
- Cześć – odparł Janek i wyszedł z budynku.

Michał wszedł do gabinetu, gdzie ujrzał dwóch lekarzy z okazałymi wąsami. Jeden uzupełniał dokumentację za biurkiem, drugi ze stetoskopem przerzuconym przez szyję zawołał go na badanie. Wykonywał swoje czynności, a spostrzeżenia podawał koledze za biurkiem.

- Ze wsi? – zapytał doktor.
- Tak.
- Zawód jakiś jest? Czy w gospodarstwie pracujesz?
- Nauczycielem chciałbym być – odrzekł Michał.

Doktor zmarszczył brwi.

- Ja cię nie pytam, kim chciałbyś być, tylko co umiesz. Zrozumiano?
- Tak. Kowalem jestem, to znaczy ojciec, a ja pomagam.
- Ale na robocie się znasz?
- No tak... Ma się rozumieć.

– Kowal... – Zamyślił się na chwilę doktor. – To mamy kolejnego kawalerzystę – powiedział do kolegi.

– Który raz to dzisiaj słyszę! – odpowiedział z uśmiechem lekarz przy biurku. – Jak tak dalej pójdzie, to nam koni zabraknie. Sami ułani, jak mi Bóg miły.

– Zjechali się chłopcy ze wsi, to wiadomo. Z miastowymi to w kawalerii gorzej. Tu obycie z końmi potrzebne i chłopska karność – odparł doktor ze stetoskopem, a Michał zerkał na rogatywkę położoną na biurku, zastanawiając się, czy to ten major, o którym przed chwilą mówił Janek.

- Podkuwaczem w pułku najpewniej będziesz – oznajmił lekarz.
- Ja? – zdziwił się Michał.
- A kto? Fryzjer? – huknął doktor.

Michał spojrział w ziemię przestraszony silnym głosem lekarza.

– No dobrze. Zdrów jesteś jak ryba – rzekł medyk. – Idź już i na bilet do wojska czekaj. Ułanem będziesz, cieszyć się trzeba.

Michał uklonił się i wyszedł. Za drzwiami odetchnął z ulgą. Nie dziwił się Jankowi, że nie umiał zebrać słów, by odpowiedzieć na proste pytanie. On sam w tej chwili nie był w stanie opisać swoich wrażeń.

Wracając do domu, w pociągu jeszcze raz sięgnął po „Znachora”. Nie mógł oderwać się od lektury. Gdy wysiadł w Starym Potoku, zobaczył z daleka, że na stację wchodzi Grzesiek, Wiktor i Łukasz. Przyszli dowiedzieć się, jak mu poszło i zapytać o wrażenia. Michał ruszył w ich kierunku. Przechodząc wzdłuż peronu, spojrzął na wagon. W oknie dostrzegł Janka. Żałował, że nie zauważył go wcześniej, jechali razem, nie wiedząc o tym, że podróżują w jednym kierunku. Michał uśmiechnął się i pomachał do niego, a Janek odwzajemnił uśmiech i podniósł rękę.

„Może się jeszcze spotkamy” – pomyślał Michał.

Michał zamknął „Pana Wołodyjowskiego”, było późne sierpniowe popołudnie. Ławeczka przy ścianie kuźni zawsze przyciągała. Lubił siadać na niej z książką. Opierał plecy o szachulcową ścianę i zanurzał się w kartach powieści. Tutaj też często siadali tata i pan Julian, by dyskutować o polityce. W ostatnim czasie ich głównym tematem była rosnąca potęga Niemiec i coraz odważniejsze poczynania Hitlera. Zastanawiali się, do czego może doprowadzić bierność Europy.

Michał nie chciał o tym myśleć, wystarczała mu troska starszych. Przymknął oczy i oparł głowę o ścianę, ciesząc się ciepłem zachodzącego słońca. Nie zauważył, gdy obok pojawili się Grzesiek, Wiktor i Łukasz. Przychodzili w każdej wolnej chwili. Wiedzieli, że jesienią Michał idzie do wojska.

– Zabierzesz? – zapytał Wiktor.

– Co?

Chłopak wskazał na książkę.

– No książki, do wojska.

Michał się uśmiechnął.

– Wątpię, by tam był na to czas.

– To jak ty wytrzymasz? – Grzesiek się zaśmiał.

– Ty będziesz czytał, a jak przyjadę, to opowiesz – rzucił Michał.

– Ja? W życiu. Ja mogę słuchać. Niech oni czytają. – Wskazał na kolegów.

– Ja bym nawet chciał – stwierdził Wiktor. – Tylko w polu robota zawsze i w obejściu, a wieczorem to oczy się kleją.

– Migacie się – stwierdził Michał.

– Może trochę – przyznali. – Też byśmy woleli do wojska.

– Poczekacie jeszcze kilka lat i was wezmą.

– Będziesz ułanem. – Łukasz się uśmiechnął.

– Trzeba się cieszyć – dokończył Michał słowami doktora.

– No pewnie! To najlepsze wojsko! – przyznał chłopak.

– A wiecie skąd ułani? – zapytał Michał.

– No jak skąd? Z Polski przecież.

Michał się uśmiechnął.

– No pewnie, ale nazwa, pochodzenie? Słyszeliście?

Chłopcy pokręcili głowami przecząco.

– To od Aleksandra Ułana, polskiego Tatara.

– Tatara? – zdziwił się Grzesiek.

– Tak – potwierdził Michał. – On się urodził pod koniec siedemnastego wieku, a wywodził się ze znamienitego tatarskiego rodu, pochodzącego od chanów Złotej Ordy, i od tego rodu wzięła się nazwa ułan. Oni przybyli na teren Wielkiego Księstwa Litewskiego już w piętnastym wieku, potem doszli do stanu szlacheckiego. W tej rodzinie było wielu oficerów i dowódców, nagradzanych przez władcę za zasługi na polu bitwy majątkami ziemskimi. Ojciec Aleksandra Ułana, Adam, był towarzyszem chorągwi husarskiej.

– To pewnie syna chrzcili na dwóch złożonych szablach? Tak kiedyś mówiłeś – wtrącił Wiktor.

– Dobrze zapamiętałeś. Tak czytałem, że synowie husarzy byli podawani do chrztu na dwóch skrzyżowanych szablach. Nie wiem, czy prawda, czy legenda. A w rodzinie Ułanów dużo wojskowych było. Bratanek Aleksandra był rotmistrzem, a inni krewni walczyli w pułkach litewskiej armii. Aleksander był najpierw rotmistrzem, potem pułkownikiem. Walczył u boku króla Augusta Mocnego. Ten pułk liczył wtedy osiem chorągwi, czyli ze czterystu żołnierzy. Był znany nie tylko w Polsce, ale też poza granicami. Wtedy ze względu na nazwisko dowódcy zaczęto żołnierzy określać słowem ułani. Więc to od Tatarów z pułku lekkiej jazdy pułkownika Aleksandra Ułana pochodzi nazwa.

– Naprawdę?

– Tak czytałem – odparł Michał. – No i jest jeszcze miasto daleko na Wschodzie, Ułan Bator, co oznacza dokładnie Czerwony Bohater. Czy ta nazwa ma coś wspólnego z naszymi ułanami? Nie wiem, może przez tatarskie zaczątki, skoro oni wyszli od Złotej Ordy..., czyli gdzieś tam. Nikt o tym dzisiaj nie myśli i nie będziemy się zastanawiać.

– Nie będziemy – zaśmiali się chłopcy.

– Tylko pamiętajcie, że pułk Aleksandra Ułana stosował nowoczesne jak na tamte czasy taktyki bojowe. Ułani Tatarzy atakowali wyłącznie przy użyciu lanc z proporczykiem. Przeciwnicy, widząc łopoczące na wietrze chorągwie, byli mocno przerażeni. Ułani słynęli z waleczności i ogromnej odwagi, a jeszcze długo po śmierci Aleksandra jego pułk nazywano pułkiem pana Ułana. Dzięki skuteczności znała ich cała Europa. No i potem już ułanami określano wszystkich jeźdźców lekkiej kawalerii walczących za pomocą lancy i umundurowanych na polski wzór.

Chłopcy słuchali oczarowani. Takie wiadomości lubili najbardziej, a kiedy opowiadał Michał, mogli słuchać bez końca.

– Ja też będę ułanem – stwierdził Wiktor.

– Ja też – dodał Grzesiek.

– I ja! – dołączył Łukasz.

Michał się roześmiał.

– No tak, za kilka lat to cały szwadron ze Starego Potoku się zbierze.

– Dokładnie za cztery lata – uzupełnił Wiktor.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku to my pójdziemy do kawalerii!
– zawołał Łukasz.

– To będzie nasz rok! Będziemy w wojsku.

– Wszyscy?

– Tak – odpowiedzieli chórem.

– No dobrze – powiedział Michał. – To będzie wasz rok.

Nie mógł wiedzieć, że za cztery lata, w 1941 roku, chłopcy rzeczywiście będą w wojsku. W leśnym partyzanckim oddziale, gdzie każdego dnia będą stawać do nierównej walki na śmierć i życie z niemieckim najeźdźcą.

Winnica

Dziewiętnastoletni Ignacy Tęczyński siedział rozparty wygodnie na koźle jednokonnej bryczki i przyglądał się podróżnym wychodzącym z budynku małej stacji kolejowej Jasiniec Białełłota w Białych Błotach pod Bydgoszczą. Przyjechał kilkanaście minut wcześniej, pokonując pięciokilometrową leśną trasę z domu na stację. Nogi w wysokich butach do jazdy konnej założył na przód pojazdu, a ręce skrzyżował na piersiach. Bez skrępowania przyglądał się dwóm dziewczynom, które właśnie opuściły podmiejski pociąg i zmierzały w kierunku swoich domów.

Mijając bryczkę, zerkają na wysokiego, przystojnego blondyna, który widząc zainteresowanie, uśmiechał się delikatnie, dumnie podnosząc głowę. Patrzył na mijające go dziewczęta spod półprzymkniętych powiek. By skrócić sobie czas oczekiwania, postanowił zamienić kilka słów z nieznanymi. Zeskoczył z kozła i stanął przed nimi, lecz zanim zdążył się przywitać, zobaczył ją, jak wychodzi z budynku stacji. Widocznie wysiadła z innego wagonu i nie przeszła przez poczekalnię.

Ominął dziewczyny bez słowa, wiedząc, że nie będzie już czasu na pogawędkę i szedł w jej kierunku. Musiał przyznać, że jak zawsze prezentowała się zjawiskowo. Sięgające ramion kruczoczarne włosy ułożone w modną fryzurę zdobił mały, jasny kapelusz. W alabastrowej twarzy odznaczały się karminowe usta, a ciemnoniebieskie oczy otaczały firanki perfekcyjnie wytuszowanych rzęs. Ubrana była w błękitną sukienkę skrojoną według najnowszych trendów w kształcie klepsydry. Lekko podniesione ramiona ze skrzydełkowymi rękawkami oraz rozkloszowany dół podkreślały oplecioną paskiem wąską talię. Delikatna tkanina opływała krągłe biodra młodej kobiety. Mimo upału miała włożone subtelne jak pajęczyna pończochy, a całość garderoby dopełniały szydełkowe rękawiczki oraz kremowe, niewysokie buty z miękkiej skóry. W jednej ręce niosła sporą walizkę, a w drugiej wiklinowy koszyk.

Ignacy podszedł do niej, a ona uśmiechnęła się promiennie i od razu podała mu bagaż.

– Witaj, braciszku – zawołała i zarzuciła mu wolną rękę na szyję. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała w policzek, zostawiając na nim czerwony ślad szminki. Spojrzała mu w oczy, zadzierając głowę do góry.

– Czy mi się wydaje, czy jeszcze urosłeś?

– Wydaje ci się – odparł Ignacy.

– Mężniejesz – stwierdziła. – Wyglądasz jak tata. No... może jeszcze trochę ci do niego brakuje. Na razie jesteś jak nieopierzony kurczak, ale z czasem będzie lepiej...

Puszyć się potrafisz jak prawdziwy kogut – zaśmiała się. – Widziałam, jak na te dziewczyny patrzyłeś.

– Agata! – odparł surowym głosem. – Jeszcze minuta nie minęła, a ty zaczynasz swoje... Chodź, jedziemy, w domu czekają.

Wiedział, że kiedy tylko starsza o trzy lata siostra pojawi się w domu, zaczną się przepychanki. Agata była studentką Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Była to jedna z dwóch uczelni w kraju kształcących lekarzy o specjalności medycyna weterynaryjna. Działo tam siedemnaście katedr i szereg specjalistycznych laboratoriów. Agata zamierzała ukończyć studia z wynikiem celującym, jak Helena Jurgielewicz, która w 1923 roku jako pierwsza kobieta otrzymała dyplom lekarza weterynarii. Myślała o tym, by osiągnąć jeszcze więcej, zostać na uczelni i rozwijać swoje naukowe doświadczenia przy Katedrze Chorób Wewnętrznych Zwierząt prowadzonej przez profesora Zygmunta Markowskiego. Marzyła o tym, by zostać pierwszą kobietą wykładowcą tej prestiżowej akademii. W domu pojawiała się rzadko, najczęściej przy okazji świąt i różnych uroczystości. Podróż do domu skracala sobie, korzystając z połączeń lotniczych między Lwowem a Warszawą, z której następnie do Bydgoszczy docierała pociągiem. Ignacy zazdrościł jej możliwości latania, choćby tylko w charakterze pasażera, i wyrzucał siostrze, że jest snobką, pozwalając sobie na tak ekskluzywne wojaże. Agata nie przejmowała się docinkami, cena biletu lotniczego równała się cenie biletu na pociąg relacji Lwów – Warszawa, gdy jechała pierwszą klasą. Uznała więc, że nie ma o czym dyskutować. Rodzice cieszyli się z jej obecności, nie wnikając, jakim środkiem transportu dotrze do domu.

Agata przyznawała, że najlepiej czuje się we Lwowie, że jest to miasto na miarę jej aspiracji. Uważała, że nie ma wspanialszego na świecie, że żadna inna metropolia nie jest w stanie mu dorównać. Lwów był dla niej symbolem wolności, mądrości, nowoczesności, esencją świata nauki i... dobrej zabawy, a to bardzo jej odpowiadało. Agata była piękną i inteligentną dziewczyną o nowoczesnych poglądach. Wypowiadała się za równouprawnieniem kobiet, wolnością wyboru, za totalną emancypacją niewiast, której nigdy nie myślała jednak ze skrajnym feminizmem. Nie prowadziła wywodów o wyższości kobiet nad mężczyznami, ale bardzo chciała, by obie płcie miały przynajmniej takie same prawa i możliwości. Nie umiała pogodzić się z tym, że kobiety pracujące na tych samych stanowiskach co mężczyźni otrzymywały połowę ich wynagrodzenia, bez względu na to, czy były to robotnice, czy też absolwentki uniwersytetów. Jedyną grupę, gdzie ta różnica nie była tak drastyczna, stanowili nauczyciele, jednak droga do wyższych stanowisk w administracji szkolnej była dla pań niemal zupełnie zamknięta. Nieustannie złościła się też na ogólną niechęć zatwardziałyh konserwatystów wobec pracujących kobiet, które krytykowano za wszystko, zarzucając im dążenie do przejścia męskich ról. Wyśmiewała komentarze, w których stwierdzano, że stres w pracy powoduje u kobiet anemię, nerwowość i oziębłość płciową, a sama praca sprawia, że panie odkładają w czasie macierzyństwo, by potem urodzić mniej dzieci, a więc praca zawodowa jest zwyczajnym wygodnictwem i objawem egoizmu. Agata nieustannie walczyła z tymi poglądami.

Zdawała sobie również sprawę, że jej przekonania nie budzą entuzjazmu wśród mężczyzn, odwrotnie proporcjonalnie do urody. Korzystała więc ze swoich atutów i kiedy podczas kolejnej rozmowy próbowała oświecać rozmówcę, a on uparcie i grzecznie spierał się z nią, gdy kolejny raz uświadamiała sobie, że nie przeprowadzi rewolucji, po prostu korzystała z życia. Uważała, że skoro kobiety mogą być dla mężczyzn źródłem dobrej zabawy, nic nie stoi na przeszkodzie, by działało to również w drugą stronę.

Ignacy nie lubił, gdy siostra pojawiała się w domu. Drażniły go jej poglądy i sposób, w jaki je wyrażała. Wiedział, że wcześniej czy później będą się kłócić. Mama twierdziła, że to dlatego, iż mają takie same charaktery. Fizycznie rodzeństwo stanowiło przeciwieństwo – czarnowłosa Agata i wysoki blondyn Ignacy, jednak według mamy oboje byli tak samo uparci i dumni. Brat zaprzeczał, mówił, że to Agata jest pyskata i zadziorna, a on po prostu się broni przed jej atakami. Był dużo spokojniejszy, gdy pozostawała we Lwowie. Relacje na odległość bardziej mu odpowiadały, bywało, że nawet za nią tęsknił i przyznawał w duchu, że w jakiś sposób ją kocha. Jednak gdy tylko pojawiała się i otwierała usta, wiedział, że zaraz usłyszy coś, na co będzie musiał ostro reagować. Przyznawał, że niejednokrotnie w rozmowie z nią brakowało mu argumentów, dlatego po prostu udawał opornego, zatwardziałego antifeministę, bo to działało na nią jak płachta na byka i było jednym sposobem, by przestała trajkotać o równouprawnieniu. W takich chwilach wyzywała go od zacofanych dziadów i się obrażała.

Ignacy ułożył walizkę na bryczce i spojrzął na wiklinowy koszyk.

– Co tam masz? – zapytał.

Agata otworzyła wieczko i jego oczom ukazał się śliczny, mały szczeniak w kolorze złota z nieprawdopodobnie długimi uszami.

– To prezent dla mamy. – Siostra się uśmiechnęła.

– Pies? – zdziwił się. – Po co pies? Mama ma ich w tej chwili chyba dziewięć.

Agata pokręciła głową z dezaprobatą.

– Dziewięć? – spytała zaskoczona. – Ostatnio, jak byłam, było ich siedem. Znowu coś znalazła czy ktoś przyniósł? Rasowe kundle.

– Nie wiem – przyznał Ignacy. – Wiem tylko, że jest ich dużo. Po co jej kolejny?

– To nie jest zwykły pies! – oburzyła się siostra. – Cocker spaniel angielski, najlepsza hodowla we Lwowie. Zobacz, jaka piękna.

– Suczka? – zapytał i zajrzał do koszyczka, gdzie leżała mała złota kuleczka przecudnej urody. – Rzeczywiście śliczna. Jak z bajki.

– O widzisz! – ucieszyła się Agata. – Dobrze rzekłeś, „jak z bajki”. Będzie Bajka.

– Tylko nie wiem, po co kolejny pies – powtórzył Ignacy.

Agata wyjęła zwierzątko z koszyka i podała bratu. Podniósł go na wysokość oczu, przytulił do policzka, żeby poczuć miękkość szczenięcego futra, a Bajka polizała go po twarzy. Mógłby przysiąc, że uśmiechała się do niego.

– Spodobałeś się jej – uznała siostra.

– Mądra dziewczynka – zaśmiał się. – Zna się na ludziach. – Pocałował pieska w mały nos w kształcie serca i włożył z powrotem do koszyka. – Wsiadaj, jedziemy. – Podał rękę

Agacie i pomógł jej umiejscowić się w bryczce. Ruszyli do domu leśną drogą. Jechali do Winnicy, ich majątku i domu w stylu polskich dworów, schowanego pośród gęstych lasów.

– Co u ciebie? – zapytała Agata.

– Dobrze. Bez zmian – odrzekł.

– Tylko tyle masz siostrze do powiedzenia? – zaśmiała się. – Nie wierzę. Nic się nie dzieje? Żadnych nowych podbojów? – Puściła oczko. – Nadal trzymasz się jednej spódnicy? Panna z piekarni?

Ignacy wiedział, że na pewno zostanie przesłuchany i jednym z pierwszych pytań będą te o Weronikę. Agata zawsze podśmiewała się z jego relacji z dziewczynami. Weronika była koleżanką ze szkoły powszechnej, ale potem ich drogi się rozeszły. Ignacy uczył się w Bydgoszczy, a dziewczyna została w domu, by pomagać w rodzinnej piekarni. Dzieiliło ich pochodzenie, status i plany na przyszłość. Weronika myślała o tym, by dobrze wyjść za mąż i posiadać szczęśliwą rodzinę, natomiast Ignacy uważał, że ta dziewczyna to tylko początek większej przygody, ale od czegoś trzeba zacząć, a skoro była ładna, miła i pozwalała na wiele, chwilowo bardzo mu odpowiadała. Nie przyznawał się jednak przed Agatą, że ta znajomość niewiele dla niego znaczy. Znając jej poglądy na temat przedmiotowego traktowania kobiet, sprawiał wrażenie, że jest Weroniką poważnie zainteresowany.

– Tak, trzymam się jednej i bardzo mi to odpowiada – odrzekł.

– Kłamczuch. – Pogroziła mu palcem. – Nie powiesz mi, że do końca życia zamierzasz jeść chleb z jednego pieca? – Uśmiechnęła się znacząco.

– A jeśli tak?

– Nie wierzę – zawołała. – A wiesz dlaczego?

Ignacy wzruszył ramionami.

– Widziałam, jak patrzyłeś na te dziewczyny na stacji i one na ciebie – rzekła. – Znam to spojrzenie – dodała konspiracyjnie.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– A co u ciebie? – zapytał, by odwrócić uwagę od swojej osoby. – Jak się domyślam, korzystasz z różnych piekarni? – Spojrzał na nią z ukosa ciekawy, czy zrozumiała aluzję.

Agata zaśmiała się perliście.

– Żeby tylko piekarni... Są też cukiernie... – odparła. – Mam wyrafinowany gust kulinarny. Jestem, że tak powiem, ciekawa nowych, nieznanых smaków. Próbuję, smakuję, kosztuję...

Ignacy przerwał opowieść.

– Nie chcę więcej słyszeć.

– Nic nie mówię. – Udała, że zamyka usta na kluczyk. – Nie mogę cię gorszyć, bracie. Dojrzejesz, posmakujesz i sam będziesz szukał swojego ulubionego smaku. Zobaczysz, jakie to przyjemne zajęcie – zapewniła.

Ignacy zerknął w jej stronę lekko speszony aluzjami.

– Pójdiesz do piekła – stwierdził.

– Pójdę, gdzie mi się podoba – uznała. – Lepiej powiedz, co w domu.

Odetchnął z ulgą, że zmieniła temat. Nie miał ochoty rozmawiać z nią o damsko-męskich sprawach, nawet jeśli nie nazywała rzeczy po imieniu, ale posługiwała się podtekstami. By jak najszybciej opuścić niewygodny temat, opowiadał o wydarzeniach z ostatniego miesiąca. Kilka kilometrów pokonali bardzo szybko.

Wjechali na teren posiadłości przez niewielki park i okrążając wypełniony kwiatami klomb, zatrzymali się przy schodach wejściowych. Z przodu domu rozciągał się ganek osłonięty daszkiem wspartym na czterech smukłych kolumnach. Budynek w stylu dworku zbudowano z czerwonej cegły. Jego ozdobą były ogromne okna na parterze. Drzwi wejściowe otwierały się wprost do dużego holu, gdzie znajdowało się wiele wejść do różnych pokoi oraz korytarzyk w kierunku kuchni. Na wprost pięły się ku górze drewniane schody z rzeźbioną balustradą. Na piętrze rozmieszczone były sypialnie, a na parterze pokoje gościnne, w tym jadalnia, salon oraz gabinet ojca, którego szklane drzwi wychodziły na spory taras od strony ogrodu i sadu. Majątek położony był w otoczeniu lasów, dlatego też wokół domu i zabudowań gospodarskich rosło dużo drzew. Ściany wszystkich budynków stanowił mur pruski lub szachulec. Drogi na pola prowadziły między stajniami i stodołami. Tuż obok majątku znajdowały się domy mieszkańców Winnicy, z których część pracowała u Tęczyńskich.

Rodzice Agaty i Ignacego kupili posiadłość w drugiej połowie 1918 roku. Ojciec, Jakub Tęczyński, był jednym z trzech synów zubożałego szlachcica. Jego rodzina od pokoleń zajmowała się hodowlą koni. Ich podpoznański majątek odrywał po kawałku zaborczy wymiar sprawiedliwości, nakładając na rodzinę kolejne kary za udział w antypruskiej działalności, która miała doprowadzić do odzyskania przez Polskę niepodległości. Polityczne zaangażowanie nie przynosiło zamierzonych skutków, a nowe pokolenia Tęczyńskich stawały się coraz biedniejsze. Gwarancją przetrwania było utrzymanie choćby kilku koni o najlepszych genach. Robili wszystko, co w ich mocy, by nie stały się elementem zaborczej kontrybucji.

Jakub wiedział, że nie ma czego szukać w rodzinnym gnieździe i sam musi znaleźć sposób, by przetrwać. Bracia uznali, że powinni wykorzystać swoje jedyne atuty: szlachectwo oraz fakt, że był niezwykle przystojnym mężczyzną i dzięki temu zdobyć pannę z najbogatszym z możliwych posagów.

On był pewien, że posiada dużo mocnych stron, a uroda i pochodzenie wcale do nich nie należą. Nie miał wątpliwości, że osiągnie wiele, lecz nie za pomocą posagu przyszłej żony, a własnej inteligencji. Był niezwykle mądrym, rozważnym, błyskotliwym i niezmiernie bystrym człowiekiem. Potrafił myśleć racjonalnie i konstruktywnie, cechowała go dalekowzroczność i nieprawdopodobna, niespotykana intuicja. Jeśli podejmował decyzje, nie miał wątpliwości, że będą słuszne, czy to w kwestii ludzi, czy interesów. Według braci miał jedną podstawową wadę, którą on z kolei uważał za zaletę – był bardzo uparty i nieprzejednany w swych przekonaniach. Na jego szczęście intuicja rzadko go zawodziła.

Swoją przyszłą żonę poznał na jednym z przyjęć, rok przed wybuchem Wielkiej Wojny. Lena była córką bogatego poznańskiego przedsiębiorcy. Urodziła się i wychowała

w Nicei, dokąd jej ojciec posłał mamę, by reperowała zdrowie w śródziemnomorskim klimacie. Odwiedzał żonę na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie przebywała w towarzystwie starszej córki Róży. Po jednej z takich dwutygodniowych wizyt małżonka, matka Leny, zorientowała się, że spodziewa się dziecka i ani myślała wracać do Poznania, bojąc się dalekiej podróży w swoim stanie. Lena urodziła się więc w Nicei, a do Polski przyjechała jako dwuletnia dziewczynka z francuską nianią u boku. Ukończyła szkoły i rodzice rozpoczęli gorące poszukiwania kandydata na męża.

Na przyjęciach i towarzyskich spotkaniach Lena czuła się jak obiekt na sprzedaż. Wiedziała, że wszyscy obecni oceniają ją i Różę, podziwiając urodę siostry i zastanawiając się nad tym, kto zdecyduje się na przeciętną Lenę. U boku czarnowłosej Róży, która zajmowała się głównie troską o urodę i podkreśleniem swoich walorów, Lena czuła się jak wróbel przy papudze. Mawiano, że jest „wystarczająco ładna”, ale nie piękna, nie zjawiskowa jak siostra. Nikt nie interesował się, czy jest „wystarczająco” mądra, dobra, inteligentna. Istotna była uroda i pieniądze.

Nie cierpiała miejskiego życia, plotek, koneksji, zajmowania się nic nieznaczącymi cudzymi sprawami. Nienawidziła fałszywej uprzejmości, sztucznych uśmiechów, szepcótów za plecami i spekulacji „kto i z kim”. Wiedziała, że potencjalni adoratorzy są wypychani w jej kierunku przez swoje matki i ciotki. Kiedy się jej przyglądali, prowadząc nudną rozmowę, była pewna, że kalkulują, czy posąg zrekompensuje przeciętną urodę. Gdyby mogła, nie wychodziłaby na przyjęcia oraz prośzone obiady, podwieczorki i kolacje. Lubiła teatr, kwiaty i kochała zwierzęta, uznając je za rozsądniejsze od ludzi. Mawiała, że tylko one widzą to, co prawdziwe w człowieku.

Kiedy podczas jednego z proszonych przyjęć na świeżym powietrzu Jakub Tęczyński poprosił ją do tańca, szła w kierunku ozdobionej lampionami drewnianej altany służącej za parkiet jak skazaniec na ścięcie. Zerkała na niego i była pewna trzech rzeczy: tego, że dokładnie wie, jak bogata jest jej rodzina, tego, jak bardzo ojcu zależy na tym, by chociaż jedną córkę wydać za szlachcica, oraz że spróbował już swoich sił z Różą. Nie widziała wcześniej, by rozmawiali, ale знаła ten schemat. Kiedy siostra stroiła dąsy i bawiła się zainteresowaniem adoratorów, czasem przenosili swoją uwagę na Lenę, mając nadzieję, że w przypadku niej będzie łatwiej. Nie miała wątpliwości, że tym razem było dokładnie tak samo. Jakub Tęczyński był wysokim blondynem o wspaniałych rysach i przenikłym spojrzeniu. Niestety nie potrafiła nic wyczytać z jego bystrych oczu.

Nie mogła wiedzieć, że przyglądał się jej przez całe popołudnie, starając się pozostać niezauważonym. Przypatrywał się, gdy oddaliła się od towarzystwa i obserwowała wieiórki. Nie odrywała wzroku od pary rudzielców, która biegała między drzewami, skakała po gałązkach, by po chwili przysiąść na ziemi i rozejrzeć się dookoła. Lena śledziła każdy ruch i uśmiechała się, wyciągała rękę do zwierzątek, a one podchodziły z zaciekawieniem. Obecność ludzi nie była dla nich niczym wyjątkowym. Jakub słyszał, że dziewczyna mówi do wieiórek, a one przekrzywiała głowy, jakby słuchały z zainteresowaniem.

Zaintrygowała go, przez godzinę nie odrywał od niej oczu. Obserwował każdy gest i śledził każdy grymas na twarzy. Zauważył, że nie czuje się najlepiej w towarzystwie oraz

że uśmiech, który serwuje obecnym, jest zupełnie inny niż ten, który widział, gdy patrzyła na zwierzęta. Poczul tę znajomą iskrę. Intuicja. Nigdy nie wątpił w przeczucie i nigdy się nie zawiodł. Podeszedł do niej niepewnie, pytając samego siebie: „Czy to naprawdę ta?”. Kiedy był bardzo blisko, spozjrzał w ciemnobrązowe oczy dziewczyny. Wiedział, że nie mógł się pomylić.

Jeden wspólny wieczór wystarczył, by był pewien. Oświadczył się trzy miesiące później i został przyjęty. Decyzja o ślubie uszczęśliwiła wszystkich, bracia Jakuba cieszyli się, że brat wżeni się w jedną z najbogatszych poznańskich rodzin, a rodzice Leny, że córka wychodzi za mąż za szlachcica. Jej posag miał pomóc w rozpoczęciu nowej drogi. Jakub postanowił poszukać miejsca, w którym mogliby zacząć wspólną życiową wędrówkę. Miał zamiar kupić niewielką posiadłość i kontynuować rodzinną tradycję, czyli zająć się hodowlą koni. Najstarszy brat, Jeremiasz, zdecydował, że odda w ręce Jakuba konie, które pozostały w majątku Tęczyńskich. Uznał, że jedynie Jakub ma prawdziwy talent do tych zwierząt i z pomocą pieniędzy żony osiągnie sukces w tej dziedzinie.

Jakub znalazł odpowiednie miejsce, Lena spodziewała się dziecka i wówczas w lipcu 1914 roku wybuchła wojna, nazwana później Wielką Wojną, a jeszcze później I wojną światową. Jakub trafił do pruskiego wojska, a Lena umierała z niepokoju. Myślała o mężu i modliła się, by wrócił bezpiecznie i mógł wziąć w ramiona córeczkę. W lutym 1915 roku urodziła się Agata.

Jakub pośród wojennej zawieruchy trafił w kocioł największej bitwy Wielkiej Wojny. W sierpniu 1916 roku znalazł się pod Sommą. Słyszał wtedy, że już pierwszego dnia tej bitwy, 1 lipca, podczas pierwszego szturmów Brytyjczycy stracili 60 tysięcy ludzi. Przez miesiące walk na polu bitwy wykorzystywano po raz pierwszy w historii na szeroką skalę gazy bojowe, zwłaszcza fosgen, w postaci granatów artyleryjskich oraz bomb z moździerzami. Jakub został ranny 15 września, kiedy po raz pierwszy w historii do walki włączono czołgi. Niemców zdzięsił silny ostrzał artyleryjski. Jakub zapamiętał rozrywający ból, a potem obudziły go tortury na stole operacyjnym i cierpienie na łóżku szpitala polowego. Dowiedział się, że lekarz był zmuszony amputować mu nogę powyżej kostki, że ma szczęście, iż przeżył oraz że jako niezdolny do służby wraca do domu.

Długo oswajał się z faktem, że jest kaleką. Lena zaangażowała najlepszych specjalistów, by mąż mógł funkcjonować bez podpierania się na kulach, z udziałem obu nóg. Jakub otrzymał protezę oraz szyte na miarę i dostosowane do jego kalectwa wysokie buty do jazdy konnej. Nauczył się poruszać i w ramach podparcia korzystał jedynie z laski.

Żona, chcąc znaleźć mu pociechę, nalegała, by ponownie rozpoczął poszukiwania posiadłości, w której mogliby rozpocząć nowe życie. Wiedziała, że tylko praca i wyzwania pozwolą mu zapomnieć o wojennych przejściach. W Poznaniu wydawał się bez życia. Jednym źródłem radości była dla niego Agata.

W 1918 roku, kilka miesięcy przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, Lena i Jakub Tęczyńscy przenieśli się z Poznania do niewielkiej Winnicy, położonej pięć kilometrów od miejscowości Białe Błota pod Bydgoszczą. W listopadzie 1918 roku razem z odrodzoną Polską urodził się Ignacy. Ojciec mówił, że syn jest dzieckiem wolności.

Nowa Polska przyniosła nowe możliwości. Jakub nie stracił ani jednego dnia. Nieustannie wykorzystywał każdą okazję i niczym bohater biblijnej przypowieści pomnażał talenty. Geny hodowcy rozbudziły się w nim w pełni. Polska kawaleria potrzebowała koni, a Jakub Tęczyński był jednym z tych, który dostarczał najwspanialsze. Po kilkunastu latach miał rozległe znajomości w kręgach wojskowych oraz u podobnych sobie hodowców. Podpisał wiele korzystnych umów i miał ambicję, by jego hodowla dała początek nowym talentom. Jego wielkim odległym marzeniem była hodowla koni sportowych. Te plany musiał jednak odłożyć na przyszłość i zająć się teraźniejszością. Sprzedawał dużo, jednak intuicja podpowiadała mu, by zainwestować w jakość.

Uprowadzając konkurencję, za ogromną sumę kupił młodziutkiego ogiera Atamana. Samo jego pochodzenie było gwarancją sukcesu. Wystarczyło poczekać kilka lat na efekty. Inwestycja okazała się strzałem w dziesiątkę. Żrebaki po Atamanie były piękne i skoczne, co decydowało o tym, że trafiały pod skrzydła sportowców w pułkach. Ogier okazał się przysłowiową kurą znoszącą złote jaja i oczkiem w głowie Jakuba oraz ulubieńcem Ignacego i Agaty, którzy prowadzili cichą rywalizację o prawo do konia.

Do Winnicy zjeżdżali się hodowcy z najdalszych stron, przywożąc klacze, które rok później wydawały na świat piękne dzieci Atamana. Ojcu bardzo zależało na tym, by polscy hodowcy bogacili się, a ich konie nie były gorsze od zagranicznych. Uważał, że Polska może być potęgą w tej dziedzinie, a jego hodowla to poniekąd patriotyczny obowiązek. Wychowany pod zaborami w kulcie polskości wspierał rodzimą produkcję i kupował wyłącznie krajowe artykuły, były to ubrania, meble, glazura, a nawet kieliszki i karafki. Mawiał, że patriotyzm polega na tym, by dla Polski pięknie żyć i pracować, pamiętając o wszystkich, którzy dla niej umierali.

Sam nie szczędził sił. Każdy dzień wydawał się zbyt krótki. Rano wychodził na poranny obchód, doglądał wszystkiego, wydawał dyspozycje, rozmawiał z pracownikami, ze stajennymi, z ludźmi, którzy wyruszali na pole. Ziemia dawała plony, z których korzystali przez cały rok. Siano, słoma i pasza dla koni pozyskiwane były w majątku. W stajni spędzał długie godziny, wracając do domu na obiad, by zaraz potem uciekać do kolejnych obowiązków. Wieczory mijały w gabinecie, gdzie czekała dokumentacja i dopinanie interesów. Gorącym okresem w majątku był początek roku i wczesna wiosna, gdy przychodziły na świat kolejne żrebaki. Bywały tygodnie, że co kilka nocy pojawiał się nowy maluszek. Wówczas stajenni spali przy koniach, by w razie jakichkolwiek kłopotów być w pobliżu. Jakub często czuwał razem z nimi, wymykając się z domu nocą, by sprawdzić, czy wszystko przebiega, jak należy. Gdy rodził się pierwszy żreback w sezonie, w chwilę po narodzinach ojciec budził Agatę i Ignacego, którzy zaspani zakładali kożuszki na piżamy i dreptali za tatą do stajni, by ujrzeć najnowsze szczęście. Jakub otwierał szampana i razem ze stajennymi wypijał toast za zdrowie i pomyślność całego młodego pokolenia koni, za kolejne szczęśliwe narodziny, za powodzenie. Dzieci dostawały po łyku musującego trunku. Ojciec mówił, że to tradycja, której mają pozostać wierni. W ten sposób powitał w Winnicy pierwszego żrebaka w hodowli i ten zwyczaj wpisał się w życie majątku na stałe.

Rodzina żyła szczęśliwie. Nie byli oszalełymi bogami, lecz „wystarczająco zamożni”, jak określał ich status ojciec Leny. Na swój dostatek pracowali, nie oszczędzając sił. Jakub uważał, że biorąc ślub z Leną, podjął najlepszą decyzję w życiu. Nie pojmował i cieszył się jednocześnie, że nikt przed nim nie zauważył, jaka jest wspaniała. Była pełna dobra, radości i spokoju. Dziękowała Bogu za Jakuba, który zabrał ją z okropnego miasta. W Winnicy u boku ukochanego człowieka czuła się najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Zajmowała się domem, wychowywała dzieci, hodowała kwiaty, pracowała w sadzie i przysparzała wałęsające się po okolicy psy. W domu zagubionym wśród lasów odnalazła swój wymarzony świat. Wiedziała, że Jakub bardzo ją kocha, że widzi w niej to, co niewidoczne dla oczu. A on dziękował losowi za Lenę. Uwielbiał, kiedy przychodziła do gabinetu wieczorami, gdy on siedział za biurkiem zajęty dokumentami. Wchodząc, zamykała na klucz piękne rzeźbione drzwi, a następnie podchodziła blisko i stawiała między mężem a biurkiem, opierając się delikatnie o blat. Jakub rozwiązywał niespiesznie tasiemki zwiewnej koronkowej koszuli nocnej i rozchyłał dekolt, wsuwał dłoń pod koszulę na wysokości kolana i sunął w górę, podnosząc subtelną tkaninę. Przesuwał się na brzeg skórzanego fotela i przyciągał żonę do siebie, a ona siadała niczym amazonka, sięgała w kierunku paska spodni, uwalniała go, a potem znikali w sobie. Uwielbiał jej zapach, rozpuszczone włosy, w które zanurzał dłonie, kiedy opadały na plecy niczym peleryna, gdy odchyłała głowę do tyłu. Dotykał ustami smukłej szyi, cieszył dłonie aksamitem skóry.

Lena była nie tylko jego żoną i kochanką, matką jego dzieci, przede wszystkim była przyjaciółką i ten fakt uważał za niebywałe szczęście. Ufał jej, zwierzał się z problemów, czasem pytał o radę, a ona podpowiadała mu, co powinien zrobić, wiedząc jednocześnie, że uparty mąż i tak postąpi po swojemu. Doceniała jednak, że chciał znać jej zdanie i liczył się z nim.

Cieszyła się, że omija ją wielkomięskie życie. Za każdym razem, gdy jeździli do Poznania, kiedy pokazywali się w towarzystwie, miała wrażenie, że wszyscy są przekonani, iż ożenił się z nią dla pieniędzy. Gdy jeszcze byli narzeczeństwem, usłyszała kiedyś za plecami, że wybrał nie tę siostrę, co trzeba, bo to z Różą wysoki, przystojny blondyn stanowiłby piękną parę. Lena wiedziała wówczas, że chce jak najszybciej uciec od tych oceniających spojrzeń i krzywdzących opinii.

Jakub nie przejmował się zdaniem innych. Śmiał się w duchu, myśląc sobie: „Jacy jesteście głupi i ślepi”. Kilka lat po ślubie, w czasie rozmowy z Jeremiaszem, uświadomił sobie, że w oczach otaczającego świata on również jest postrzegany jako łowca posagów, który, wykorzystując swoje pochodzenie i atrakcyjność, złapał finansową okazję i ożenił się dla pieniędzy z przeciętną dziewczyną, poniżej swoich możliwości. Bracia doceniali to „poświęcenie”.

Pewnego dnia podczas szczerzej rozmowy w gabinecie, po kilku kieliszkach koniaku Jeremiasz zadał mu pytanie.

– Dlaczego nie wybrałeś Róży? Przecież Lena nie jest nawet w połowie tak... – Przerwał i spojrzał w podłogę, zdając sobie sprawę, że mógł urazić brata.

Jakub uśmiechnął się kąciakiem ust.